KŁOPOTY STARSZEGO PANA

TEGOŻ AUTORA:

Rok wojny w Warszawie.
Drogami wojny, powieść dla młodzieży.
Gracz, powieść.
Dziewczyna z szaremi oczyma, powieść.
Zaczarowane zwierciadło, zbiór baśni.
Egzotyczna Polska, reportaż.

STANISŁAW DZIKOWSKI

KŁOPOTY STARSZEGO PANA

WARSZAWA
NAKŁADEM „KSIĘGARNI NOWOŚCI"
W TORUNIU „KSIĘGARNIA TORUŃSKA"

Zakł. Graf. „Polska Zjednoczona", Warszawa, Nowolipie 2

Gdybym był zarozumiałym optymistą, mógłbym się łudzić, że „Kłopoty starszego pana“, które ukazywać się będą w kilku następujących po sobie serjach, mogą przyczynić się, chociażby w pewnej mierze, do oczyszczenia atmosfery w Polsce — tej osobliwej atmosfery zakłamania i obłudy, którą podtrzymuje w podstępny sposób zręczność jednych, a której nie narusza zdumiewająca apatja drugich. Ludziom bardzo naiwnym może się nawet wydawać, że krzykliwa działalność niektórych naszych pisarzy, wyrażająca się przez efekty jaskrawe, wysuwanie przy każdej spobności zagadnień drażliwych i posługiwanie się najbardziej wulgarnym słownikiem ulicy zmierza właściwie do stworzenia jakiejś nowej treści duchowej.

Nie sądzę, aby którykolwiek z naszych „kombinatorów“ uwijających się na niezbyt rozległych terenach literackich i publicystycznych mógł ze szczerem przeko-

naniem wymagać ode mnie, abym brał za dobrą monetę to, co jest tylko dowcipnym wyrobem zręczności praktycznej, co jest zadowoleniem ambicji bardzo podrzędnej jakości. Nie należę wprawdzie do żadnej „ferajny“ literackiej, do żadnej „sitwy“ pisarskiej, w wielu wypadkach nie jestem wtajemniczony, ale, do licha, nie jestem jakimś poczciwym gamoniem prowincjonalnym, którego każdy cwaniak warszawski może „nabić w butelkę“, sprzedać mu zwykłe szkiełka zamiast brylantów, albo też zawrzeć z nim tranzakcję na wydzierżawienie kolumny Zygmunta.

Wydawało mi się zawsze, i to jest jedyna moja zarozumiałość, że, choć nieproszony, posiadałem dość zimnej bezczelności na to, aby oglądać rozmaite wspaniałe i dramatyczne przedstawienia od strony zakulisowej, gdzie słowa patetyczne załamują się, gdzie ogląda się twarze pociągnięte tylko szminką bohaterską i gdzie słyszy się dyskretne poszepty w garderobach...

Ale wracam do mojego zasadniczego motywu.

Nie mam żadnych złudzeń, nie roszczę sobie żadnych praw, nie szukam spełnienia żadnych ukrytych nadziei. Nie chcę nikogo przekonywać, nikogo oświecać, nie czu-

ję także powołania do wypędzania przekupniów ze świątyni. To wszystko, co znajduje się w tej książce i znajdować się będzie w następnych, jest niczem innem, jak tylko osobistą potrzebą wydania na świat płodu od dawna już dojrzałego, przedziwnie nabrzmiałego i uciskającego wszystkie organy mojej skromnej wegetacji.

Gdyby przypadkiem się okazało, że garść tych uszczypliwości przydała się komuś na coś, byłaby to dla mnie niespodzianka niezmiernie miła, choć zupełnie nieprzewidziana i niewyczekiwana.

Całe osobiste zadowolenie zdołałem już częściowo zagarnąć, powtarzając sobie przy każdej sposobności:

— Uf, ulżyło mi...

Tak, ulżyło, to przecież najważniejsze...

. . . .

Niektóre z opowiadań zamieszczonych w pierwszej serji „Kłopotów starszego pana“, jak np. „Sen, mara“ albo „Kwiatki“ zostały napisane niejako na marginesie moich ostatnich zamierzeń. Znalazły się jednak tutaj ze względu na to, że zawierają w sobie ów pierwiastek niecenzuralny, o którym jest mowa w „Pamiętniku jednego dnia“. Wreszcie te właśnie utwory zwracają swoje ostrze prrciwko pokoleniu, któ-

re, jakby się mogło wydawać, zostało otoczone tutaj obroną i opieką. Niechże więc owi intruzi w towarzystwie niezupełnie dla siebie odpowiedniem domagają się prawa obywatelstwa przez poczucie sprawiedliwej miary, która nikogo i niczego nie oszczędza.

SEN, MARA...
CZYLI KŁOPOTY EROTYCZNE.

Siedzieliśmy w zacisznym pokoju i rozmawialiśmy dość leniwie o sprawach jak najbardziej błahych.

Mój przyjaciel, mężczyzna ze skroniami przypruszonemi powabną siwizną, opowiadał mi o jakichś nieporozumieniach ze swoimi podwładnymi, ale kiedy przestałem podtrzymywać ten niezdarny temat litościwemi uwagami, rozmowa nagle zgasła i zaległo nieco kłopotliwe milczenie.

Czuło się w tej atmosferze intymnej przytulności, wygodnych mebli i doskonałych trunków, że wypada nam przeprowadzić się wraz z naszą rozmową do jakiejś innej, bardziej ekscytującej dziedziny.

I kiedy mijały chwile, jedna z nich, odchodząc, rzuciła nam uwodzicielskie spojrzenie kobiety.

Mój przyjaciel uśmiechnął się niemal porozumiewawczo i zapytał z właściwą mu, ujmującą swobodą:

— Jeżeli chcesz, opowiem ci mój sen. Właśnie dzisiejszej nocy śniło mi się coś bardzo zabawnego.

Nalałem sobie jeszcze jedną filiżankę czarnej kawy, tego narkotyku gadułów i odpowiedziałem bez wahania:

— Doskonale, opowiadaj, będę się starał słuchać wszystkiego z rozsądnem i pobłażliwem skupieniem.

— Otóż — zaczął mój przyjaciel — śnił mi się ni mniej ni więcej, tylko...

...SĄD NAD MĘŻCZYZNĄ.

Przez sen głęboki i rozkoszny poczułem znagła brutalny, niespodziewany uścisk szorstkich rąk.

Obudziłem się lekko spocony i z trudem rozwarłszy zasklepione powieki, zobaczyłem nachylone nad sobą twarze dwóch podstarzałych babsztyli. Były groźne i napiętnowane zastygłą, kamienną nienawiścią. Jakkolwiek w ich szpetnych obliczach tliły się jakieś niejasne, kiedyś dobrze znane wspomnienia, pomyślałem zrazu odruchowo, że to nareszcie coś z metafizyki, coś z czwartego wymiaru, coś z tamtego świata. Ucieszyłem się i przestraszyłem jednocześnie. Oprzytomniawszy jednak, usiadłem na łóżku i kiedy zobaczyłem moją sypialnię oświetloną jaskrawo, wszystko nabrało tak ostrych zarysów rzeczywistości, że z żalem musiałem się rozstać z jakąkolwiek możliwością mistycznej wizji.

Ale cóż to ma znaczyć do stu tysięcy djabłów? Czego te dwa stare grzmoty chcą ode mnie?

Wyprostowałem się i odruchowo zacisnąłem pięści.

W tej samej chwili jednak obie baby, jakby tą samą nakręcone sprężyną, wykonały automatyczny, zgodny ruch. Z przepaścistych fałdów sukien wydobyły brauningi i skierowały błyszczące lufy w moją stronę.

Było w tej pantominie tyle zimnego, niebłaganego wyrazu, że nieprzyjemne ciarki poczęły łaskotać mnie po grzbiecie. Drżącym głosem, miną niepewną nadrabiając, zapytałem nieśmiało:

— Cóż to właściwie za najście?

— Milczeć — odpowiedziała jedna z nich głosem ochrypłym — i natychmiast ubierać się!

Tymczasem druga, stąpając ciężko niezgrabnemi buciorami, przeszła do pracowni. Przez otwarte drzwi zobaczyłem, jak zasiadła za moim biurkiem. Otworzyła wszystkie szuflady, wszystkie schowanka i wyrzuciwszy na wierzch stosy papierów, notatek, rękopisów, fotografij, listów i różnych, pożółkłych, zeschniętych pamiątek, poczęła je pilnie przeglądać.

— U djabła — pomyślałem — co za rewizja? Czy to defenzywa, czy wydział śledczy, czy policja polityczna, czy też jakieś stronnictwo, a może nawet obce mocarstwo? Ale któż z nich mógłby się zajmować osobą, tak jak ja mizerną, a przytem daleką od wszelkiej polityki?

Napróżno usiłowałem rozwiązać dręczącą zagadkę. Nie miałem zresztą na to wiele czasu, uczułem bowiem na skroni muśnięcie chłodnej stali i znowu usłyszałem obrzydliwy, chropowaty głos:

— Ubierać się natychmiast!

Wyskoczyłem z łóżka podniecony, wściekły i zacząłem ubierać się powoli, systematycznie. Wstrętne babsko nie odwróciło głowy, kiedy obnażyłem się i, nie okazując najmniejszego zawstydzenia, przyglądało się moim nagim członkom. Czułem, że święci się coś niedobrego. Miałem ochotę wyskoczyć oknem, ale skoro tylko na nie spojrzałem, czarownica pilnująca mnie z rewolwerem w garści, odgadła widać moje myśli, bo zawołała natychmiast:

— Aeroplanu ani ptaszka udawać nie radzę.

Zrozumiałem, że nie pozostaje mi nic innego, jak poddać się bez oporu i wykrętów woli dwóch nieubłaganych meger.

Skończywszy tedy tualetę, usiadłem na fotelu i czekałem z gestem sztucznego lekceważenia na to, co nastąpi.

Tymczasem drugie babsko kończyło szczegółową rewizję mojego mieszkania. Nie wystarczyło jej biurko. Węszyła po wszystkich zakamarkach i schowankach, przeszukała nawet ubrania wiszące w szafie. Zdołałem przytem zauważyć, że, jakby tropiła przedewszystkiem to, co miało związek z kobietami. Napychała tedy skórzaną teczkę listami miłosnemi, fotografjami kochanek i rozmaitemi po nich pamiątkami. Wszystko inne porzucała niedbale.

Napróżno wysilałem swój dowcip, aby zrozumieć całą awanturę.

Wreszcie porozumiały się spojrzeniem i wrzasnęły jednocześnie:

— Gotowe!

Poczem megera, która pilnowała mnie nieustannie, zakomenderowała:

— Palto, kapelusz i jazda!

Kiedy się posłusznie ubierałem, dodała jeszcze groźnie:

— A na ulicy zachowywać się grzecznie! Z nikim nie rozmawiać! Niech kawaler sobie nie wyobraża, że mógłby nam drapnąć inaczej, jak z porcją ołowiu w łepetynie.

Jakkolwiek czułem się bardzo nieszczególnie, postanowiłem wogóle nie uciekać i iść bez oporu tam, dokąd mnie wiedźmy zaprowadzą. Przedewszystkiem czułem nieustanne dotknięcie luf rewolwerowych, a jednocześnie z obawą rosła we mnie coraz bardziej ciekawość i nieposkromiona chęć przeżycia do końca nieprawdopodobnej przygody. A może, choć się tak niemile zaczęło, nastąpi niedługo rozkoszny epilog. Może te wstrętne pruchwy zawiodą mnie prosto w ramiona jakiejś rozkosznej i ekscentrycznej miłośnicy, która użyła takiego właśnie sposobu, aby dać mi wypić do końca tajemniczą czarę rozkoszy.

Noc ciemna i głucha, ulice ginące w mrokach dalekiej roztoczy, błyszczące gdzie niegdzie smugi drżących świateł, czasami wśród mrocznych pudeł okno na wysokiem piętrze, jarzące się przepychem rubinowego światła — to wszystko sprzyjało romantycznym wymysłom.

Mimowoli spojrzałem na moją eskortę bardziej pobłażliwie.

Tymczasem wychodząc z za węgła przecznicy zobaczyłem nagle dobrze mi znany, wielki gmach oświetlony rzęsiście i huczący zdaleka, jak niespokojne rojowisko owadów.

Zrozumiałem odrazu, że tam mnie prowadzą.

Doznałem dotknięcia czegoś brutalnego, czegoś, co się już dokonało. Ten gwar i te błyski świateł były tak bardzo nieprzyjemne, tak przeciwne moim upodobaniom i tak bezlitośnie przepędziły wszystkie figlarne nadzieje. Dławiący niepokój ścisnął znowu za gardło.

Szliśmy po marmurowych schodach w górę ku głównej sali. Wiedziałem, że odbywają się w niej najrozmaitsze zebrania, pompatyczne uroczystości, jubileuszowe przedstawienia, galowe koncerty i nadęte akademje — ale przecież nie o tej porze, przecież nie sprowadza się tutaj przemocą wśród głuchej nocy Bogu ducha winnego obywatela.

Podniecony tem wszystkiem biegłem tak szybko po schodach, że obie przysadziste babiny ledwo mogły za mną nadążyć. Dopadłem wreszcie oddrzwi i rozwarłszy je gwałtownie zatrzymałem się u progu.

Zobaczyłem salę zapełnioną doszczętnie. Na mój widok zaległo uroczyste milczenie. Kilkanaścieset oczu przeszyło mnie niczem zatrute sztylety. Wśród ciszy posępnej i wrogiej począłem rozglądać się dokoła. Zdziwiło mnie bardzo, że wszędzie dokąd

się tylko zwróciłem, widniała gmatwanina postaci i twarzy kobiecych.

Do licha, co za szczególne zebranie — ani jednego mężczyzny!

Była to jakaś unowocześniona scena z „Lizystraty", coś, co wiało odorem feminizmu, Armji Zbawienia i nieprzewietrzonej moralności.

Wiedźmy popchnęły mnie naprzód i oto po chwili znalazłem się przed jakiemś podwyższeniem. Spojrzałem uważnie i odrazu narzuciło mi się wrażenie trybunału sędziowskiego. Z za wielkiego stołu wychynęły się pompatycznie trzy kobiety odziane w czarne togi z zielonemi aksamitnemi wypustkami. Z prawej strony, jakby sekretarka, z lewej jakby postać prokuratorska. Zdawał się świadczyć o tem złowrogi, czerwony kolor obszywek.

Twarze tych pięciu kobiet były mi dobrze znane, ale naprężenie nerwów i położenie wciąż jeszcze niejasne przeszkadzały skupieniu. Nie posiadałem tymczasem dość siły dośrodkowej, aby odgadnąć: co to właściwie za panie?

Przeprowadzono mnie na prawą stronę, gdzie widniała twarda niewygodna ławka.

„Do stu tysięcy par djabłów, czyżby to miała być ława oskarżonych?"

Usiadłem. Jedna z eskortujących bab położyła na stole to wszystko, co zabrała z mojego mieszkania; poczem stanęły koło mnie z obu stron, jak policjanci, którzy podczas rozprawy sądowej pilnują zbrodniarza.

Kobiety siedzące przy stole zajęły się złożonemi właśnie papierami. Ciszę brzemienną przerywały jeno niewyraźne poszepty sali. Byłem wciąż jeszcze ogniskiem, w którem skupiały się wszystkie spojrzenia. I ja patrzyłem także, patrzyłem coraz uważniej. Zatumaniona świadomość dźwigała się coraz raźniej, jakby wyprostowywała związane, wlokące się po ziemi skrzydła.

Wreszcie jedno błyskawiczne poderwanie się wzwyż i zrozumiałem wszystko.

Całe to niesamowite zebranie: sala szczelnie wypełniona i sędziowski trybunał i żandarmi w spódnicach były kobietami, które tak, czy owak przeszły, a właściwie położyły się na drodze mojego życia.

Kobiety, które posiadałem...

Miałem przed sobą jak najbardziej drobiazgowy, jak najbardziej rzeczywisty pamiętnik miłosny. Pamiętnik żywy, patrzący na mnie setkami błyszczących, podnieconych oczu. Pamiętnik pozbawiony wszelkiej blagi, przerażająco ścisły, w wyda-

niu całkowitem, bez skrótów, opuszczeń i domyślników — odarty przytem z tych wszystkich poetycznych ozdóbek, któremi przystrajamy go wówczas, kiedy wydaje się nam wskazane odtworzyć zeń coś niecoś chwilowej władczyni naszego serca i naszych namiętności.

Zapomniałem o wszystkiem ogarnięty poprostu histeryczną ciekawością. Każda twarz była jedną kartą historji dni minionych, czasami całym rozdziałem, nawet tomem okazałym. Trzeba było nieraz długo szperać w zakurzonym lamusie pamięci, aby to wszystko odczytać. Zdarzenia pogrążone w mrokach niepamięci, całe fragmenty życia oderwane i zaprzepuszczone, wspomnienia osobliwe i ohydne, wzniosłe i występne, czarujące, wstydliwe, pełne niesmaku i przerażające, pospolite i niezwykłe, bliskie i dalekie, wyraziste i zamglone, dziwnie niespokojne i zastygłe w obojętności, pokrewne myśli twórczej i bezpańskie włóczęgi, kwiaty o przedziwnym zapachu i nikczemne pasożyty, wspomnienia, przesycone blaskiem księżycowych nocy, utkane z rosy, płonące tęsknotą, strojne gwiazdami i cuchnące, jak robaczywe kałuże, miłość kupiona za pieniądze i miłość hojna, rozrzutna, wstydliwość i wyuzdanie, uśmiech swawolny i śmieszna na-

dętość, ponure widziała pijackich nocy i urocze zjawiska zwycięskiej wyobraźni — to wszystko płynęło ku mnie z gęstwy twarzy wyrazistych — powoli, niby fala kapryśna i zmienna.

Do licha, kogóż tu nie było na tej sali! Kobiety wszelkich stanów, gatunków i środowisk.

Szara biedota czasami ledwo odziana, rozczochrana i niedomyta obok dam wystrojonych, pachnących, wymalowanych i uzbrojonych w cały wykwintny rynsztunek współczesnej Titiny. Miasta i wsie, stolice i prowincje. Kilkanaście narodowości, plemion i szczepów. Proletarjat, włościaństwo, małomieszczaństwo, inteligencja, szlachta i arystokracja.

Różnice wieku również bardzo znaczne. Pensjonarki, podfruwajki, kobiety rozkwitłe i przekwitłe, podstarzałe wydry, chude i złośliwe, to znowu rozlane, zawiesiste biusty, a wreszcie ostatnia, najżałośniejsza faza — starość zupełna i nieodwołalna. Twarzy owych czcigodnych jejmości nie widziałem, przysłoniły je sobie bowiem białemi woalkami, ale domyśliłem się w nich pierwszych grzechów mojej swawolnej młodości.

W przeciwległym końcu sali, niby żelazna gwardja osiwiałych w boju wetera-

nów, skupiły się głębokie szeregi gamrackiej piechoty. Płynął stamtąd jadowity szmerek podsycany od czasu do czasu histerycznemi wybuchami śmiechu.

Dokonawszy pobieżnego przeglądu tego niesamowitego zebrania, osunąłem się zupełnie otępiały na ławę.

Sytuacja była tak rozpaczliwa, że niepodobna było nawet rozpaczać.

Nagle zabrzmiał od wielkiego stołu głos donośny:

— Otwieram posiedzenie sądu kobiet. Oskarżony mężczyzna znajduje się na sali. Przed rozpoczęciem rozprawy głównej jestem zmuszona zawiadomić zebrane, że niestety, nie znajdujemy się tutaj w zupełnym komplecie. Kilka kobiet odmówiło udziału w sądzie...

Te ostatnie słowa wywołały silne poruszenie na sali, padły wrogie okrzyki — mnie zaś to niespodziewanie wyjaśnienie przywróciło utraconą równowagę ducha. A więc jest jeszcze ktoś poza tą salą, ktoś, kto nie chce mnie sądzić razem z całą ciżbą. Nabrałem odrazu rozmachu, odwagi i bezczelności. Zaraz też zerwałem się z miejsca i krzyknąłem:

— Domagam się głosu!

Wśród grobowej ciszy usłyszałem:

— Proszę...

— Sąd, przed którym stoję — zacząłem pośpiesznie — nie może być uznany w żaden sposób za ważny...

Moje słowa wywołały istną burzę na sali. Niektóre kobiety krzyczały tak przeraźliwie, że niepodobna było odróżnić nie. Kiedy hałasy nieco zelżały, dokończyłem spokojnie:

— Żadne prawodawstwo nie przewiduje, ażeby sąd mógł się składać wyłącznie z osób... poszkodowanych. Stwierdzam tedy, że na osobie mojej dokonywuje się gwałt...

— A pan, — zapytała z nieopisaną ironją przewodnicząca — czy pan nigdy nie gwałcił?

Nie próbowałem nawet odpowiadać, odpowiedziała bowiem za mnie cała sala przenikliwym, zgrzytliwym chichotem i burzliwemi oklaskami.

— Nie należy do oskarżonego — usłyszałem po chwili od stołu — rozstrzyganie o prawomocności sądu. Sąd będzie sądził, a potem ogłosi sprawiedliwy wyrok, wyrok zaś zostanie wykonany.

Raz po raz sala wybuchała grzmotem oklasków.

— Proszę odczytać akt oskarżenia.

Naprzeciwko mnie podniosła się zwolna prokuratorska mość.

Nie przyglądałem się jej dotychczas uważnie, ale teraz serce moje zamarło ze strachu.

Prokuratorem bowiem była moja żona. Mimo wszystko musiałem przyznać, że nie znalezionoby w tym zespole nikogo bardziej odpowiedniego do sprawowania tego piekielnego urzędu.

Akt oskarżenia był bardzo krótki, ale słuchając go, zdawało mi się, że wali się na mnie poprostu lawina nienawiści i zemsty. Powiedziano w nim na wstępie, że dokładny opis moich zbrodni wypełniłby kilkadziesiąt olbrzymich tomów. Trzebaby wielu dni, żeby to odczytać, a ponieważ posiedzenie sądu mogło trwać najwyżej jedną noc, wypadło się ograniczyć do ogólnie ujętych zarzutów. Oskarżano mnie tedy o złamanie ślubów małżeńskich, perfidję, niewierność, kłamstwo podstępne, wyzyskiwanie wszystkich kobiet, naigrawanie się z nich bezecne, bezlitosne wtrącanie w otchłań upadku i osamotnienia. Wobec tego akt oskarżenia domagał się najsroższych tortur, jako to: rwania języka, wykastrowania, tudzież obcięcia części najważniejszych, dalej zaś łamania kołem, a wreszcie pozbawienia nędznego żywota przy pomocy topora, szubienicy, gilotyny i prądu elektrycznego. Potem grzesz-

ne moje cielsko miało być spalone, a popioły rozsiane na wszystkie strony świata.

— Czy oskarżony przyznaje się do winy? — zapytała przewodnicząca, skoro nowe fale oklasków spłynęły.

Bez namysłu odpowiedziałem:

— Jestem niewinny...

Długo musiałem czekać nim rozognione kobietki pozwoliły mi mówić dalej.

— Pragnąłbym — zacząłem wreszcie — złożyć pewne zasadnicze wyjaśnienia. Mogę być potem wykastrowany, obcięty, porąbany, rozstrzelany, powieszony i spalony, ale teraz żądam, aby wysłuchano mnie spokojnie i bez przerywań. — I zwracając się z uśmiechem pełnym galanterji do wysokiego trybunału zapytałem: — Czy nie będzie to tylko ponad siły szanownego zebrania?

— Kobiety tutaj zebrane! — zabrzmiał dumnie i uroczyście głos przewodniczącej — mężczyzna, który stoi przed naszym sądem pragnie tłumaczyć się, pragnie się usprawiedliwiać i spowiadać ze swoich błędów. Słuchajcie go w milczeniu uzbrojone we wzniosłą pogardę. I choćby ten nędznik, którego postanowiłyśmy osądzić i ukarać, miał zatargać naszemi nerwami i rozjątrzyć nanowo ledwo zasklepione rany, stłumcie

w sobie okrzyk bólu i oburzenia. Pozwólcie, niech się ten łajdak wygada!

Zrozumiałem, że zbliża się jedna z najważniejszych chwil mojego życia.

Światła elektryczne drgnęły, zasyczały i zapłonęły jaśniej. Cała sala, jakby się ku mnie nachyliła. Gęstwina twarzy ułożyła się amfiteatralnie — tak, że nie brakowało tam ani jednego spojrzenia. Zastygły w bezruchu, jakby już zasłuchane w to, co miałem powiedzieć.

Wybornie rozumiałem, że trzeba było zaimprowizować teraz coś fenomenalnego, wytężyć poprostu całą męską inteligencję, aby się raz jeszcze wyłgać i wykręcić z matni. Ale przecież nie z jedną kobietą miałem do czynienia, setki ich czyhały na każde moje słowo — nieufne i wrogie. Wiedziałem, że należało zacząć narazie od uśpienia ich czujności pierwszemi akcentami szczerości — ale co będzie dalej? Ha, może w furji natchnienia wydostanę się na jakąś zbawczą ścieżynę?

— Szanowne panie! — zacząłem wreszcie — niezwykła sytuacja, w której się znalazłem, zmusza mnie do głębokiego wniknięcia w historję własnego życia, do zastanowienia się w sposób bezwzględnie szczery, czy tak nielitościwie sformowany akt oskarżenia jest istotnie słuszny i sprawie-

dliwy. Sądzę, że jeśli go nazwę jednostronnym, będzie to bardzo delikatne określenie jego niedostatków. Chcę wypełnić tę pustą otchłań żywą treścią. Trzeba tylko, żeby mi wierzono.

Ledwo dosłyszalny szmer, wyrażający jednak dobitnie zupełną nieufność spłynął ku mnie ze sali. Zebrałem się w sobie i na nic już nie zważając, począłem mówić szybko, zwarcie i bez namysłu:

— Należę do tego rodzaju mężczyzn, którzy ze względu na cały swój ustrój psychiczny nie mogą się obyć bez kobiety. Jest nam ona tak potrzebna, jak narkotyk nałogowcowi. Bez jej tchnienia życie przeobraża się w beznadziejną, posepną i nędzną szarość. Mógłbym to zagadnienie wyrazić wieloma pompatycznemi frazesami, ale nie chcę być pompatyczny. Chcę być tylko szczery — bezwzględnie szczery. Muszę natomiast wyznać, że mężczyźni tego gatunku rozpoczynają od najwcześniejszej młodości poszukiwanie kobiety wymarzonej i wzniosłej — kobiety idealnej. Kończą zaś ten nieustanny i wielki trud dopiero wówczas, kiedy śmieszność i znużenie starości miażdżą nielitościwie bujność ich życia. Ja jestem takim właśnie mężczyzną. Zacząłem od wiary w jedną, jedyną kobietę. Finałem tej młodzieńczej filozofji jest

zazwyczaj małżeństwo. Wszyscy chyba rozumiemy dzisiaj, że połączenie się dwojga niedowarzonych młokosów musi się skończyć eksplozją rozczarowania, wzajemnych wyrzutów i oskarżeń. Niektórzy wloką ten łańcuch bardzo długo, ale ja kochałem wolność. Pozbawiony małżeńskiego dosytu i ciepła domowego ogniska, rozpocząłem tem gwałtowniej przerwane poszukiwania romantyczne. Jesteście tu panie, w znacznej części rzeczowym dowodem jak bardzo gorliwe, jak bardzo wszechstronne były moje wysiłki. Nie zaniedbałem żadnej sposobności, nie pominąłem niczego, co było mi dostępne. Byłem niesłychanie gorliwy i pogardzałem wszelakiemi uprzedzeniami.

I nagle, zwracając się wprost ku trybunałowi, krzyknąłem:

— Pani, która przewodniczysz sądowi, jesteś tego najlepszym dowodem.

Efekt tego powiedzenia zastygł w milczeniu, które pogłębiło się o nieskończoność tonu. Wszystkie twarze pobladły od wrażenia, wszystkie oczy rozbłysły niepohamowaną ciekawością.

Zadowolony z wrażenia, które wywarły moje słowa, mówiłem dalej spokojnie i dobitnie:

— Ponieważ pani jest znakomitą i cenioną literatką, ponieważ pani tworzy systemem huraganowym powieści i nowele współczesne, unikałem pani starannie i unicestwiałem jakiekolwiek przedsięwzięcie miłosne w związku z jej osobą. Kobieta z duszą i palcami powalanemi atramentem, kobieta, która jest nieustającym szpiegiem swojego kochanka, która jak sroka kradnie każdą błyszczącą sytuację, każde ciekawsze powiedzenie, żeby je przenieść na papier, kobieta, która odwraca się nagle od nas i rżnie powieść psychologiczną — to mnie wcale nie pociągało. Unikałem tedy pani. Los chciał, żeśmy się często spotykali w pewnem towarzystwie. Zwykle ktoś tam panią odprowadzał do domu. Jednego wieczoru zaś tak wypadło, że ja musiałem towarzyszyć pani. Wśród późnej, jesiennej nocy szliśmy pustemi ulicami. Nie zwracałem na panią najmniejszej uwagi. Rozmowa rwała się i utykała raz po raz. Nie siliłem się wcale, aby ukryć znudzenie. Wtem wiatr zatargał niesfornie suknią pani i oto w błysku latarni ulicznej ujrzałem po raz pierwszy pani zgrabną łydkę. Ta chwila była, jakby natchnieniem. „Czy mam prawo — pomyślałem — narzucać sobie jakieś prawidła? A jeśli ta właśnie kobieta jest poszukiwanym ideałem, a jeśli

przejdę nieczuły obok istotnego szczęścia, które ukrywa się tylko w odstręczającej formie?" Jednocześnie jakaś oćma rubinowa padła na mój mózg—zacząłem pożądać pani tak, jak Lucyfer pożądał światła prawdy. Postanowiłem natychmiast posiąść panią, albowiem tylko wówczas, kiedy posiada się kobietę, można zgłębić całą bezmierność jej duszy. Zapytałem tedy, czy mąż jest w domu, a pani drżąc cała odpowiedziała, że właśnie dzisiaj wyjechał. Rozumieliśmy się napozór doskonale. Wszedłem na górę i zaraz w przedpokoju chwyciłem panią w swoje objęcia. Posiadłem panią, nie pozwalając jej zdjąć palta — w kapeluszu na głowie i z parasolką pod pachą. Natychmiast potem uciekłem. Już na schodach powiedziałem sobie, że pani nie jest ideałem, którego szukam. Wobec tego postanowiłem unikać pani. Byłbym skończonym łajdakiem, gdybym przedłużał niepotrzebnie tragiczną omyłkę. Jednocześnie wstręt do atramentu począł działać ze zdwojoną siłą. Pani jednak nie pojęła istoty owego wydarzenia. Moja brutalność zachwyciła panią i zmuszony byłem bronić się długo kamienną obojętnością przed jej atakami. Niezawsze jednak udawało mi się rozstrzygać tak prędko wątpliwości. Nieraz wiele czasu upływało, nim zerwałem rozkoszne

pęta. Niejedno czarujące wspomnienie zostawało mi jako nagroda za trud poszukiwania. Dostała mądrość płynęła coraz to potężniejszym strumieniem z kipiących źródeł życia. Zwolna nowa prawda zaczęła mnie oświecać i wreszcie doznałem łaski objawienia — objawienia, które przeczuwałem już od dawna. Moje poglądy, moje dążenia przeobraziły się znacznie. Z monoteisty zmieniłem się w panteistę. Począłem rozumieć miłość jako olbrzymi organizm żyjący w wielokrotności istnienia. Wiedziałem już, że kobieta idealna, ta kobieta jedna, jedyna, która może zawładnąć całą naszą istotą, nie istnieje wcale. Natomiast w każdej nieomal kobiecie ukrywa się cząstka wzniosłego ideału. Każdą z was zdobywałem dlatego, bo każda z was posiadała w sobie coś bezmiernie cennego. Tylko lekkomyślny głupiec mógłby postradać klejnot potrzebny dla całości przedziwnego ornamentu. Ograniczenie się do jednej kobiety byłoby zupełnem zaprzepaszczeniem wniosłej prawdy, którą z takiem poświęceniem zdobyłem. Postępowałem tedy zgodnie z nową wiarą. Niestety jednak przysłowiowa zaborczość kobieca, organiczna niezdolność szerszego ujęcia tych doniosłych zagadnień zgotowała mi niejedną gorzką chwilę. Nie chciano zrozumieć, że

spełniałem gorliwie szczytną misję, że całe moje życie, wszystkie siły i zdolności oddałem jej w ofierze. Jak bardzo jestem zapoznany dowodzi przedewszystkiem to, że stanąłem przed waszym sądem...

Urwałem nagle, albowiem straszliwy jazgot przekleństw, złorzeczeń, wymysłów, ironicznych dowcipków i szyderstw przerwał moje kunsztowne przemówienie. Długo tłumione podniecenie wybuchło z tem gawłtowniejszą siłą. Kobietki oszalały. Niektóre przedarły się aż do ławy oskarżenia i wymachując mi pod nosem zaciśniętemi piąstkami, krzyczały, że jestem cynikiem, wyrafinowanym krętaczem i łotrem pozbawionym sumienia.

Ja zaś wydzierałem się ze wszystkich sił:

— Nie powiedziałem jeszcze wszystkiego! Domagam się głosu! Niesłychane rewelacje jeszcze nastąpią! Kobiety słuchajcie o mojej pokucie!

Wreszcie baryton męski przedarł się przez gąszcz sopranów i altów. Poskromił je i uciszył. Odsapnąłem wówczas i zacząłem znowu mówić:

— Chcę dać świadectwo prawdzie, chcę czynem rzeczywistym potwierdzić, że wszystko, co powiedziałem, nie jest czczym jeno wymysłem... Przebywszy już znaczniejszą część drogi, czuję się znużo-

nym wędrowcem. Dziś pragnę tylko spokoju i wytchnienia po życiu burzliwem. Rozumiem wasze, o panie, wzburzenie, rozumiem, że mimowoli zostałyście przeze mnie skrzywdzone. Chcę teraz odpokutować za wszystkie nierozmyślne przewinienia. Wybierzcie więc z waszego grona kobietę, a jestem gotów przyjąć ją na resztę dni moich jako jedyną towarzyszkę. Dochowam jej wierności, otoczę staraniem i wszystkiemi służbami prawdziwego poświęcenia. Czynić zaś będę to z uśmiechem na ustach i pogodą w sercu, widząc w takiem zakończeniu życia ukoronowanie wszystkich moich dążeń i pragnień. Ta kobieta będzie ową kobietą jedyną, o której marzyłem, jako młodzieniec, a przytem w niej, jak w ognisku skupię całą poezję i mądrość własnego doświadczenia. Obsypię ją hojnie skarbami zdobytemi wśród długiej wędrówki, oddam jej to, co wziąłem od innych. Będzie tedy jedyną i wszystką... Przyczem dla dokładnego obrazu dodać jeszcze muszę, że jestem zarówno nieźle usytuowany, jak i zakonserwowany...

To powiedziawszy wśród zupełnej ciszy podniosłem patetycznym gestem dłoń prawą w górę, a potem przysłoniwszy nią oczy, szepnąłem wyraziście, głosem pełnym wzruszenia:

— A więc kobiety, dokonajcie wyboru...

Osunąwszy się na ławę, począłem zerkać ostrożnie na salę. Już tam wrzeć poczęło. Niektóre damy naradzały się pomiędzy sobą, inne wyjawiały skrystalizowane poglądy. Najraźniej ruszały się wszystkie starsze panie. Pewna tylko część zebranych zachowała postawę wzgardliwą i milczącą. Wreszcie zabulgotało i zagotowało się. Jedne domagały się losowania, inne dowodziły, że one właściwie posiadają najwięcej praw do mojej osoby. Były i takie, które widocznie pod wpływem modnych haseł chciały się mną podzielić. Tu i ówdzie zaczynało już syczeć starcie odmiennych zapatrywań. Wybuchały sprzeczki i namiętne rozprawy.

Z drżeniem serca czekałem, kiedy nareszcie babiny wezmą się za główki.

Ale niestety, wszystko udaremniła jej prokuratorska mość. Wytłumaczyła ona w sposób dosadny, że całe moje przemówienie, a zwłaszcza ostateczna rezolucja była tylko sprytnie obmyślonym wykrętem.

— Ten cynik — wołała — nie wyrzeknie się swojego programu nawet na łożu śmiertelnem. Czyż nie widzicie, że to djabeł ubrał się w ornat i ogonem na mszę dzwoni?

Wśród gromkich okrzyków nastąpiło ogólne porozumienie. To, co zbudowałem z takim kunsztem natchnienia zachwiało się nagle i runęło.

Nic mnie już ocalić nie mogło!

Tymczasem pierwsze smugi brzasku wdzierały się poprzez kotary przysłaniające okna. Odgłos budzącego się ze snu miasta dudniał raz po raz głucho. Trybunał sędziowski zaczynał się niecierpliwić i drżenie nerwowego pośpiechu przenikało dokoła. Ceremonjał sądowy skracano z niesłychanym pośpiechem. Postępowanie dowodowe odrzucono jako zupełnie niepotrzebne. Nie przesłuchano ani jednego świadka, zadowalając się jedynie stwierdzeniem, że sam potwierdziłem akt oskarżenia w całej rozciągłości. Odrzucono wszystkie moje wnioski i wszystkie sprzeciwy.
Narada trybunału była również tragikomiczną parodją — trwała zaledwie kilkanaście sekund.

Wyrok, który odczytała znakomita powieściopisarka, brzmiał, jak następuje:

W imieniu rzeczypospolitej kobiecej, mężczyzna, który stanął przed naszym sądem, zostaje uznany za winnego wszystkich zarzucanych mu zbrodni i po rozpatrzeniu sprawy

skazany na dożywotnie pobawienie
wszelkiej kobiety.

Poczem przewodnicząca wyjaśniła, że wyrok ten ma być dopilnowany kolejno przez najczcigodniejsze uczestniczki dzisiejszego zebrania.

Poprostu dwie starsze damy będą mi towarzyszyć zawsze i wszędzie. Ile razy zaś będę usiłował zbliżyć się do jakiejś kobiety, obowiązkiem ich będzie odpowiednio ją uświadomić. Gdyby nie pomogła perswazja, zagrożą skandalem, użyją przemocy, oraz wszelkich środków, zmierzających do tego, aby odjąć mi raz na zawsze słodycz miłości.

Zanim zdołałem wgłębić się dostatecznie w całą potworność straszliwego zamachu na moją swobodę i radość życia, niesamowite zgromadzenie zniknęło, jak czereda złych duchów spłoszonych pianiem kura.

Przetarłem oczy, spodziewając się, że odegnam od siebie to wszystko, jak upiorny sen, ale postacie dwóch paniusi, towarzyszących mi z jadowitym uśmieszkiem, świadczyły aż nadto wymownie, że wpadłem w matnię jak najbardziej rzeczywistą.

Wyszedłem na ulicę zniechęcony, żałosny i niedołężny. Czułem się tak, jakbym już

wstąpił do czcigodnego zakonu Ojców Kapucynów. Wszystko zostało obmyślone z tak szatańską przebiegłością, że chyba już nic innego mi nie pozostało, jak odgrodzić się murem klasztornym od tych przebrzydłych grzmotów.

Postanowiłem zaraz dzisiaj dowiedzieć się, w którym zakonie jest najlepsza kuchnia.

Na ulicy szare wróbelki świergotały tak samo radośnie jak wówczas, kiedy wracałem do domu znużony, lecz nasycony rozkoszą.

To mi do reszty popsuło humor.

Przez długi czas wodziłem wstrętną wartę po opustoszałych ulicach. Deptały mi po piętach, niby wyrzut sumienia. Wreszcie zawróciliśmy w stronę śródmieścia.

Niebawem zalśniły gładkie, asfaltowe bruki i rozwarły się wielkie, wystawowe okna. Przystanąłem naprzeciwko jednego z nich i przyglądałem się rozkosznym drobiazgom. Tu i ówdzie połyskiwały rozłożone niedbale milutkie cacuszka: naszyjniki lśniące, sznury białych korali i fałszywych pereł, wyszywane torebki, filuterne ozdóbki i zalotne laleczki. A dalej wiły się wiotkie szale i jakby z mgły i listków róży utkane poematy krepdeszynów, batystów, koronek i wstążek. Mimowoli przyszło mi

na myśl, że te czarujące pajęczynki były wielką zdobyczą rewolucji. Ich zachwycająca powiewność wyrażała wolność i swobodę kobiety współczesnej. One to zmusiły sztywne płótna i zawiesiste barchany do zupełnej kapitulacji, one zerwały z tradycją opornych guzików i złośliwych zatrzasków? Jakże trzeba było się męczyć niegdyś, nim człek zdołał w chwili decydującej wszystko rozpiąć i rozsznurować! A dziś? Jedno lekkie dotknięcie niecierpliwych palców kochanka, jeden gorętszy oddech wystarcza, aby te zwiewne zasłonki usunęły się cicho i dyskretnie.

„Jakże piękną i mądrą jest teraźniejniejszość!" — pomyślałem i jednocześnie westchnąłem żałośnie: „Nie dla minia pryjdiot wiesna..."

Skoro mi przemocą wtłoczono włosiennicę, mogę spoglądać na owe rozkosze, tylko jak na obojętne, muzealne zabytki...

Szedłem dalej, po chwili jednak obejrzałem się odruchowo.

I naglę serce moje zabiło żywiej poruszone skrzydłem nadziei.

Babiny zatrzymały się przy wystawie il wlepiły w nią podniecone spojrzenia. Ruszyłem szybko, obejrzałem się znowu... rozpłaszczyły jeszcze bardziej nosy i przylgnęły do szyby, jak muchy do lepu.

Na pobliskim rogu ulicy zobaczyłem samochód. Siedziało w niem jakieś płoche dziewczątko — milutkie, różowe i wielce rozbawione. Wyciągnęła ku mnie zgrabną rączynę o smukłej kiści. Jednym susem wskoczyłem do środka i ryknąłem szoferowi w ucho:

— Odjazd!

Ruszyliśmy z tak przeraźliwem hurkotaniem, że wiedźmy obejrzały się i poczęły biec ku nam z okropnym wrzaskiem. Na oślizgłej gładzi asfaltu chybotały się beznadziejnie i niezgrabnie, jak stare kaczki. Zaśmiałem się triumfująco, przygarnąłem do siebie ciepło i jędrne ciałko.

Po chwili roztoczyła się już przed nami daleka i nieznana przestrzeń. Za nami nie było nikogo. Pierwsze promienie słońca zesłały, jak królewski dar, dobroczynne, wonne tchnienie. Wyprostowałem strudzone kości i jednym zamachem wyrzuciłem na zapyloną drogę cały balast wyrzutów i lęków, cały ciężar rozsądku...

Poczułem się znowu niedowarzonym, szalonym młokosem...

Samochód pędził coraz szybciej i szybciej — prawie na złamanie karku...

— Doprawdy, — zawołałem, kiedy mój przyjaciel skończył swoje opowiadanie — nigdybym nie przypuszczał, że miłość uprawiasz w takich hurtowych...

— Ależ mój drogi, — przerwał niecierpliwie — to był tylko sen.

— Czy konfrotowałeś go zaraz z rzeczywistością?

— Mogę cię upewnić, że rzeczywistość jest znacznie skromniejsza. Gdybym miał zorganizować zebranie „moich kobiet", wystarczyłby zupełnie pokój średniej wielkości.

— A więc dlaczego śnią ci się takie fantastyczne głupstwa?

— I ja się także nad tem zastanawiałem. Wiadomo, że sen jest pewnego rodzaju emanacją stanów podświadomych, że pojawia się w swej niesamowitej formie jako nieoczekiwany gość ze świata iracjonalnego, z tej tajemniczej fabryki, gdzie się ciągle coś tworzy i kształtuje bez naszego

współudziału. Po dłuższym namyśle doszedłem do przekonania, że w tym wypadku mam do czynienia z pewnego rodzaju objawem odruchowej reakcji na stan upośledzenia, który jest zwykłym losem nas... starszych panów...

— Jednem słowem: senna megalomanja.

— Tak, — jak to dobrze wiesz, trudno się nam pogodzić, że świat bezlitosny i nieufny zaczyna nas coraz bardziej uporczywie wysyłać na zasłużony odpoczynek. Czasami tylko wydaje się to niesłuszne, czasami jest niesłuszne. Czasami posiadamy dość siły i niewygasłej jeszcze pasji, aby móc żyć całą pełnią, aby móc jeszcze zdziałać to wszystko, co się wydaje wyłącznym przywilejem młodszych. Ale cóż z tego? Nie wierzą nam już, patrzą podejrzliwie i uśmiechają się ironicznie, kiedy jakaś sytuacja każe nam rywalizować z młokosami... Z drugiej strony zaczynamy coraz bardziej ulegać poczuciu śmieszności. Badamy każdy nasz gest, każde nasze spojrzenie, każde słowo — stajemy się powściągliwi, małomówni, wkładamy zastygłą maskę pozornej obojętności, ożywionej tylko niedbałym i pobłażliwym uśmiechem. Przyznasz, że życie, którego motywem zasadniczym jest nieufność we wszystkich odcieniach, traci wiele uroku. Kropla melancho-

lijnej goryczy przesącza się wszędzie. Cóż nas może pocieszyć? Chyba, jeśli ktoś okaże nam zaufanie i jeśli to zaufanie go nie zawiedzie. Czasami pocieszyć nas może właśnie taki sen...

— Taki sen — zauważyłem — dosyć nawet podobny do...

— Sen zupełnie fantastyczny — oświadczył mój przyjaciel bardzo stanowczo i więcej już na ten temat nie chciał rozmawiać.

KWIATKI
CZYLI KŁOPOTY SENTYMENTALNE.

Nadszedł wreszcie ten dzień, dzień zdawna upragniony i oczekiwany. Pan Teodor wierzył niezłomnie, że właśnie dziś znalazł się już w obliczu wielkiego wydarzenia, które będzie w jego życiu początkiem nowej epoki, która pozwoli odzyskać mu utraconą młodość, wyzwoli wszystkie utajone siły i spełni wszystkie niezaspokojone tęsknoty.

Chwilami jednak wśród tego radosnego podniecenia pojawiało się ponure widmo wszelakich wątpliwości.

— Czy nie jestem już za stary? — myślał wówczas pan Teodor i z niepokojem przyglądał się w lustrze swojej postaci otyłej i przysadkowatej, wyblakłym, niebieskim oczom i twarzy rumianej, ale pomarszczonej, jak zimowe jabłko.

Pocieszała go tylko czarna, kędzierzawa i gęsta czupryna, wśród której lśniły dostojnie siwe nitki włosów. Poczem wznosił w górę swój wypukły i potężny tors,

starał się wciągnąć brzuch wystający, opierał się mocno na rozstawionych nogach i naprężał muskuły atletycznych ramion. Poczucie znacznej siły fizycznej sprawiało mu wielkie zadowolenie.

— Nie jestem wprawdzie wiotki i zgrabny, — myślał znowu — ale jestem krzepki, jak dąb. Mogę się jeszcze podobać.

A potem powtarzał sobie, niby radosną nowinę, rzecz najważniejszą:

— Mam pieniądze i jestem niezależny!

Przed kilkunastu laty, pan Teodor borykał się jeszcze ze złym losem, jako mizerny urzędniczyna policyjny. Dopiero wówczas, kiedy pojął za żonę panią Reginę, zdawało się, że fortuna doń się uśmiechnęła. Pani Regina była wprawdzie o dwadzieścia lat od niego starsza, ale posiadała znaczny majątek i cierpiała na nieuleczalną chorobę. Małżeństwo z nią miało pozory sentymentalnej przyjaźni i opieki silnego mężczyzny nad chorowitą istotą, ale właśnie pan Teodor był pewny, że dokonał świetnej tranzakcji finansowej, zdobywając odrazu pewny grunt pod nogami i doskonałe nadzieje na przyszłość. W kilka dni po ślubie doznał srogiego rozczarowania. Pani Regina ozdrowiała, podniosła się z łoża boleści i ujęła w żelazne dłonie ster wszystkich spraw. Pan Teodor dostawał

mieszkanie, jedzenie, opierunek i kilka groszy na osobiste wydatki, ale nic poza tem.

— Musimy być oszczędni, — mawiała pani Regina — zato, kiedy umrę, wszystko będzie twoje.

Poza tem stawała się coraz bardziej wymagająca, żądała jednocześnie sentymentu i bezwzględnego posłuszeństwa, roztoczyła nad nim drobiazgową kontrolę i nie pozwalała wymykać się z domu na czas dłuższy. Ponieważ pan Teodor jeszcze przed ślubem porzucił swoją lichą posadę, stał się zupełnym niewolnikiem domu i swojej despotycznej żony. Z początku buntował się. Nie ukrywał nienawiści do jej postaci niekształtnej i rozlanej, przywdzianej niezmienie w tę samą staromodną suknię z koronkowym żabotem. Jej twarz pomarszczona w czarnej peruce poczęła go napełniać wstrętem. Raz po raz wybuchały pomiędzy nimi kłótnie przesycone jej łzami i jego wściekłością. Ale, pomimo wybuchów pełnych męskiego temperamentu, stanowczość i przewaga kobiety odnosiły zawsze zwycięstwo. Pan Teodor nie zdołał nic uzyskać, a po kilku miesiącach zabrakło mu już odwagi, aby zerwać z dobrobytem, którego nigdy nie posiadał, aby powrócić do

tragicznej roli nędzarza, którym los i ludzie pomiatają.

Wreszcie pani Regina usidliła zupełnie pana Teodora wyjątkową dobrocią swojej kuchni. Ta kobieta, z której życie pomału uciekało, znajdowała jakąś rozkosz w potrawach wyszukanych i przyrządzanych z najwyższem znawstwem sztuki kulinarnej. Posiadała ona tak wysubtelnioną znajomość wszelkich smaków, stworzyła tak wyborną syntezę tajemnic kuchennych, że każdy posiłek w ich domu przeobrażał się w jakieś misterjum przedziwnego obżarstwa. I tą drogą niezawodną ,poprzez rozpasany żołądek zdobyła jego przyjaźń i miała wszelkie szanse, aby kiedyś zdobyć jego otłuszczone serce. Zczasem osiągali coraz to ściślejsze porozumienie, uzgadniali swoje poglądy na świat, życie i ludzi, uśmiechali się z pogardliwem lekceważeniem, jeśli cokolwiek odbiegało od szablonu ich ustalonych pojęć. Była to sielanka dwojga beztroskich samolubów, którzy zdołali zapełniać szereg dni jednostajnych swoją wygodą i używaniem najpospolitszych dóbr doczesnych. Na mocy tajemniczego prawa mimicry stawali się coraz bardziej do siebie podobni, tworzyli niemal jedną całość, poruszaną temi samemi instynktownemi odruchami.

I dopiero wówczas, kiedy pani Regina upewniła się dostatecznie, że związek ich jest już niewzruszony, poczęła obdarzać swego towarzysza drobnemi ustępstwami. Pozwalała mu na przelotne miłostki, nieszkodliwe flirciki i patrzyła przez palce, jeśli znikał na jakiś czas poza domem — wiedziała bowiem, że nic już nie może naruszyć równowagi opierającej się na iście granitowych podstawach.

Odniósłszy ten triumf sprytu i wytrwałości, pani Regina poczęła objawiać coraz to silniejsze wyczerpanie. Gasła w oczach. Panu Teodorowi zdawało się, że słyszy wciąż bliższe stąpanie nieproszonego gościa — śmierci. Całe mieszkanie przesycone było zapachami aptecznemi — przy łożu umierającej pojawiła się pielęgniarka w białym fartuchu, a wśród nocy przerywały brzemienną ciszę jęki boleści. W tej atmosferze beznadziejnej, której nic już nie mogło odwrócić, pan Teodor nie mógł powstrzymać się od radosnej świadomości, że zbliża się wreszcie upragniona wolność. Pogardzał sobą i nie szczędził najstraszniejszych wyrzutów, ale jednocześnie nie mógł się powstrzymać od marzeń o życiu przyszłem, o zachwycającej swobodzie i pełni używania. Ile razy podchodził do łoża boleści musiał gasić przezornie uśmiech za-

dowolenia, który wydawał mu się piętnem okropnej zbrodni.

Wreszcie pani Regina, porzuciwszy wszelką nadzieję, zaczęła się z nim żegnać. Pokazała mu testament, mocą którego miał stać się jej uniwersalnym spadkobiercą, wtajemniczyła go we wszelkie sprawy majątkowe i udzieliła mu wielu rad co do załatwiania rozmaitych formalności. Pan Teodor starał się przybrać wyraz pełen obojętności, starał się nie pytać o nic, ale słuchał wszystkiego z najwyższą ciekawością.

Pewnego wieczoru wzięła jego rękę i przycisnąwszy do niej rozgorączkowane wargi poczęła dziękować mu za kilkanaście lat razem przeżytych. Po raz pierwszy uczuł w gardle dławiące wzruszenie. Nagle uścisnęła go silnie i urywanym głosem wyszeptała:

— Czy ty mnie kiedykolwiek naprawdę kochałeś?

Pan Teodor bąknął coś niezrozumiałego i siedział koło niej zakłopotany, ze spuszczoną głową, jak winowajca.

— Chciałam, żeby ci było dobrze, ale ty mało myślałem o mnie...

— Ależ, moja droga... — próbował się sprzeciwić zaniepokojony temi niespodziewanemi słowami.

Pomarszczoną twarz pani Reginy wykrzywił niesamowity uśmiech.

— Nigdy nie odczułam twojej miłości — i nagle patrząc mu prostow oczy niemal krzyknęła: — Na przykład nigdy nie podarowałeś mi kwiatka!

— Kwiatka? — powtórzył zdumiony.

— Tak jest, kwiatka, takiego zwyczajnego kwiatka, który przynosi mężczyzna ukochanej kobiecie...

Pan Teodor pomyślał, że to jest jakaś dziwna pretensja i nic na to nie odpowiedział.

Tej samej nocy umarła. Kiedy zbudzono pana Teodora, duch z niej już uleciał — w ten sposób zaoszczędził sobie przykrości ostatecznego pożegnania.

Uczucie smutku, w którem go pogrążyła śmierć żony i posępna ceremonja pogrzebowa, rozprószyły się rychło w gmatwaninie interesów i formalności spadkowych, które załatwiał z wytrwałą energją. Później wyjechał na dwa miesiące na wieś, aby tam odbyć żałobną kwarantannę i przynajmniej na krótki czas zejść z oczu ludzkiej ciekawości. Przez cały czas jednak układał plany na najbliższą przyszłość i postanowił, na nic się nie oglądać, zacząć od

pierwszego dnia życie pełne swobody i beztroskiej zabawy.

. . . .

Był pogodny, jesienny wieczór, kiedy wyruszył na miasto podniecony tą pierwszą, zdobyczną wyprawą. Ponieważ nie posiadał w tej chwili jeszcze żadnych znajomości, rozpoczynał wieczór samotnie.

— To nic nie szkodzi — pomyślał i z radosną pewnością powtarzał, że w dzisiejszych, powojennych stosunkach łatwo jest każdemu znaleźć to, czego pragnie.

Nigdy świat nie wydawał mu się tak powabnym i tak łatwym do pozyskania, jak dzisiaj. Wieczorna symfonja wielkiego miasta porwała jego zmysły i zesłała pierwsze upojenie. Melodje, które wygrywały klaksofony samochodów, różnokolorowe światła wystaw i reklam ulicznych, błyski latarń na asfaltowej gładzi, falanga przechodniów, wśród której lśniły uśmiechy i sporzenia pięknych kobiet wydały mu się czarującym wstępem do bajki o szczęściu.

Przez długi czas błądził po ulicach podniecony rozkosznie. Jego wyobraźnia rozsnuwała wszędzie cudowne wydarzenia i przygody. Mimowoli utożsamiał się z ludźmi, których spotykał, dostrzegając wszędzie niewyczerpaną otchłań możliwości.

Zdawało mu się, że dość się zdecydować, aby odległą i wstrzemięźliwą obserwację przeistoczyć w akcję bezpośrednią, aby z widza przemienić się w aktora i rozpocząć nową rolę na deskach teatru współczesności. Był pewien, że wystarczy tylko jego jednego postanowienia, aby poprostu skoczyć równemi nogami przed siebie i znaleźć się odrazu wśród kipiącego wiru życia. Tymczasem uśmiechał się, jakby z pogardliwą pobłażliwością i patrzył, co robią inni?

Jego plan był już zresztą oddawna gotów. Nadzieje, które się obracały przedewszystkiem dokoła potrzeby zdobycia kobiety, miały zgóry przynależny teren. Pan Teodor odrzucił w sposób bezwzględny wszelkie tak zwane możliwości towarzyskie. Sądził bowiem, że jest to droga ciężka, żmudna, powolna i najzupełniej nienowoczesna. Pomimo całego swojego konserwatyzmu, postanowił być w sprawach erotycznych jak najbardziej zgodny z nastrojami współczesnemi. Dokonawszy takiego wielkiego ustępstwa na rzecz dzisiejszych obyczajów, które dotychczas srodze piętnował, uważał, że zdobył się na wielkie poświęcenie, które musiało być nagrodzone. A zresztą czyż było możliwe chodzić na jakieś uroczyste przyjęcia i nudne zebra-

nia dla bardzo słabego tylko promyka nadziei? Gdyby nawet udało mu się w ten sposób zdobyć jakąś przygodę, jakąś chwilę naprawdę miłą, obawiał się ciężaru zobowiązań, sytuacji niewyraźnej, która mogła grozić nowem jarzmem, nową niewolą. Może zaplątałby się w tak misterne sieci, z których niepodobnaby było się wywikłać.

W jego marzeniach i pragnieniach nie przyświecała nigdy gwiazda miłości, nie było nigdy miejsca na pożądanie namiętności palącej ogniem rozżarzonego żelaza — uśmiechały się doń raczej małe i niegroźne miłostki, znajomości łatwe i przemijające, przygody, które rozpoczynają się przy świetle lamp wieczornych, a zamierają o bladym świcie. Pan Teodor pożądał takiego kalejdoskopu wrażeń, dzięki któremu mógłby odzyskać to wszystko, co utracił poprzez beznadziejną jednostajność lat minionych. Był pewien, że jedyne szanse jakie posiadał były tam, gdzie wśród najbardziej szalonej zabawy szeleszczą dyskretnie banknoty i gdzie się odbywa każdego wieczoru zamaskowane targowisko.

Zatopiony w myślach nie spostrzegł zrazu, że ulice opustoszały, że kolorowa poezja wieczoru zapadła w czarną otchłań i że się już zaczęło posępne widowisko wielkomiejskiej nocy. Cienie i szepty niesamo-

wite, które wypełzły z zaułków na szeroką arterję miasta przyjęły go wstrętem, obawą i zmusiły do szybkiej ucieczki.

W oddali widać było, jak zbawczą oazę, wejście jaskrawo oświetlone, a ponad niem okna przesycone rubinowemi błyskami, które spływały stamtąd razem z falą muzyki sennej i zmysłowej. Pan Teodor, nie namyślając się długo, dobiegł tam i wtargnął szybko do wnętrza.

Dopiero na schodach wiodących do modnego dancingu zatrzymał się i pomyślał, że oto znalazł się już na arenie wydarzeń.

Maitre, który strzegł dyskretnie wejścia, ogarnął go przenikliwem spojrzeniem, otaksował w przybliżeniu, potem powitał kordjalnie i ofiarował maleńki stolik na sali tuż koło lśniącego prostokątu posadzki, na której snuły się w powolnym rytmie tańczące pary.

Pan Teodor zamówił kolację wraz z flaszką czerwonego wina i przez dłuższy czas starał się zbadać sytuację na sali. Prawie wszystkie stoliki były zajęte albo przez towarzystwa liczniejsze, albo przez samotne pary, które tańczyły ze sobą bez wytchnienia, nie zwracając najmniejszej uwagi na całe otoczenie. Wogóle pomimo pory spóźnionej, wszędzie panował jeszcze nastrój ceremonjalny i sztywny. Stoliki po-

dobne były do bastjonów odgrodzonych od reszty towarzystwa nieprzebytem pasmem wyniosłej i obojętnej dumy. Orkiestra nie zdołała pomimo gorliwych wysiłków ogrzać chłodnej temperatury sali.

Pan Teodor nie mógł również zwrócić na siebie uwagi — nawet wówczas, kiedy wystrzelił przed nim korek szampański.

Wreszcie udało mu się odkryć wyłom wśród tej fortecy nudy i oschłości.

Był nim tak zwany: stolik artystyczny. Oprócz jakiegoś zblazowanego młodzieńca, który odznaczał się przesadną elegancją zawodową, urzędowały tutaj trzy fortancerki. Były to dziewczyny młode, ładne i zgrabne. Trzy blondynki o twarzach świeżych, których pospolitość tłumiło do pewnego stopnia to wszystko, co należy do pełnego rynsztunku modnej kobiety. Zachowywały się tak poprawnie, że trzeba było doświadczonego oka, aby się zorjentować odrazu w ich „stanowisku społecznem". Dokonawszy odkrycia, pan Teodor ożywił się i począł umacniać się zawzięcie na tej pozycji. Czynił to nawet tak demonstracyjnie i prostodusznie, że go wreszcie i strona przeciwna zauważyła. Kiedy padło stamtąd pierwsze chłodne i badawcze spojrzenie, pan Teodor zaniepokoił się mimo-

woli, ale wkrótce odzyskał odwagę i przedsiębiorczość.

Czyż nie był właśnie w tych warunkach osobistością godną istotnego zainteresowania? Nie ulega przecież najmniejszej wątpliwości, że kobiety współczesne i to kobiety wszelkiego rodzaju zwracają więcej uwagi na ludzi starszych i statecznych, niż na młokosów lekkomyślnych i podszytych wiatrem. Tam mogła być co najwyżej prostota i zabawa, do której się czasami przybłąkuje jakiś niepotrzebny sentyment, a tu przecież istniały podstawy najbardziej racjonalne, istniało bogactwo doświadczenia przy niesłabnącej jeszcze pełni sił męskich.

Pan Teodor, przepijając gęsto, poczuł w sobie istny nadmiar fantazji.

Fortancerki tańczyły od czasu do czasu ze swoim partnerem i mistrzem, ukazując przy tej sposobności grację poruszeń i wysoką klasę sztuki tanecznej. Czasami znowuż porywał je ktoś z przygodnych gości.

Wówczas panem Teodorem wstrząsnęło piekło zazdrości — zwłaszcza, kiedy zauważył, że rozmawiają ze sobą.

— A gdybym ja zatańczył? — pomyślał nareszcie.

To pytanie, które go z początku przeraziło, tkwiło w jego podświadomości już od dawna i wyłoniło się niespodziewanie, jako zagadnienie wielkiej wagi.

Przecież jeszcze za życia pani Reginy uczył się potajemnie tańczyć. Podobno nawet okazywał pewne zdolności, ale nigdy jeszcze nie miał ani sposobności, ani odwagi, aby zdecydować się na występ publiczny. Ale teraz ta próba była konieczna. Cóż znaczy dzisiaj mężczyzna, który nie jest tancerzem? Ileż sposobności traci ten, który siedzi bez ruchu za stołem i nie ma dość odwagi, aby się skłonić nieznajomej kobiecie.

Taki niedołęga wyrzuca się poprostu sam poza nawias życia i nie może nigdy odzyskać w pełni tego, co traci nieustannie.

Pan Teodor rzucił jeszcze kilka bardzo wymownych spojrzeń. Odpowiedziano uśmieszkiem konwencjonalnym, który wydał mu się przyzwoleniem i zachętą.

— Nie wypada mi być tak nieśmiałym... — pomyślał znowu i postanowił przy pierwszej sposobności wstać i zaprosić do tańca blondynkę, z którą już od dłuższego czasu rozmawiali oczyma.

A potem będzie już tańczył wszystko pokolei.

Tymczasem na sali ukazało się niespodziewanie nowe towarzystwo.

Było to kilku młodych ludzi, którzy przychodzili widocznie tutaj, aby przedłużyć rozpoczętą gdzeindziej zabawę. Mówiły o tem znamiona lekkiego podchmielenia i wesołość, która podziałała podniecająco na wszystkich. Wielmożna nuda i nadęta powaga wyniosły się, jak spłoszone straszydła. Cudowny powiew beztroskiej młodości oczyścił atmosferę, jak prąd czystego powietrza, wdzierający się do nieznośnej zatęchliny.

Chłopcy byli zgrabni, dobrze ubrani o twarzach ogorzałych, które zdradzały zdrowie i wiejskie pochodzenie — zachowywali się z pewnego rodzaju łobuzerską nonszalancją, nie sprzeciwiającą się jednak dobremu wychowaniu.

Wszystkie oczy zwróciły się ku nim i zalśniły sympatją.

W mgnieniu oka obsiedli wielki stół, a po kilku chwilach wszystkie tancerki znalazły się w ich towarzystwie.

Pan Teodor poprostu oczom nie wierzył. Jakże łatwo dokonali tego, nad czem on niemal całą noc przedeliberował. Zanim zdołał się zdobyć na rozpoczęcie batalji, został pobity i pogrążony w zupełnem osamotnie-

niu. Ogarnęła go wściekłość straszliwa i chęć sprowokowania jakiejś okropnej awantury. Ale nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Uspokoił się nieco po chwili i począł obserwować uporczywie młody stół, który huczał, rozbrzmiewał, dźwięczał śmiechem i wichrzył na wszystkie strony niefrasobliwą wesołością. Przyglądał się im coraz uważniej i wreszcie zrozumiał, na czem polegała ich przewaga. Oto oni bawili się bezinteresownie, a on tak się bawić już nie umiał. W każdym jego geście, w każdem spojrzeniu i słowie drzemała na dnie chciwość nienasyconego pragnienia, chęć zdobycia za wszelką cenę jakiejś korzyści realnej — był to od początku do końca tylko handel zamienny. Cóż w tem dziwnego? — oni mieli tak dużo, a on tak mało czasu. I dlatego zapewne oczy dziewcząt — dziewcząt może nawet zepsutych i nie zapominających o zimnem wyliczeniu śmiały się właśnie do tych rozhukanych źrebców, a nie do poważnego, doświadczonego i dobrze sytuowanego pana Teodora.

Uczuł, że ogarnia go znowu przypływ niepohamowanej pasji, a jednocześnie postanowił, że musi coś uczynić — natychmiast, bez żadnego wahania.

Właśnie buchnęła wrzaskliwa eksplozja skocznego foxtrotta. Prawie wszyscy stłoczyli się na lśniącym prostokącie. Tylko jedna z tancerek wróciła na swoje stałe miejsce.

Pan Teodor zerwał się bez namysłu i skoczył ku niej.

Spojrzała na niego lękliwie i nieufnie.

— Czy pan aby umie tańczy...? — zapytała nieśmiało.

— Rozumie się, skoro panią proszę... — odpowiedział głosem ochrypłym, który jemu samemu wydał się nieprzyjemnym.

Ogarnął ją ramionami i poczuwszy rozkoszne ciepło młodego ciała, zanurzył się jednocześnie w tanecznem kolisku.

Starał się posuwać lekko i zręcznie, powtarzał wszystkie wyuczone kroki, natężając się niesłychanie, podczas, gdy ona poruszała się z zachwycającą swobodą. Rytm tańca uderzał mu jednak coraz bardziej do głowy i wzmagał zuchwałość. Począł triumfować i krok za krokiem zdobywał coraz większą pewność siebie. Zdawało mu się, że nawet ta wybredna tancerka jest zadowolona, a wszyscy patrzą nań z podziwem.

Odważył się wreszcie spojrzeć na nią i z przerażeniem zobaczył na jej ustach

uśmiech zagadkowy — uśmiech jakby pogardliwy, uśmiech bynajmniej nieprzeznaczony dla niego. Niemal bolesnem skrzywieniem warg porozumiewała się z kimś na sali, jakby chciała powiedzieć: „Ach, co ja biedna cierpię!"

Pan Teodor zmieszał się, stąpnął słoniowato i udeptał ją w pantofelek.

— Ach, jaki pan niezgrabny! — syknęła rozgniewana.

To go zupełnie wytrąciło z równowagi — stracił rytm i począł obijać się bezradnie pomiędzy parami, przytrzymując z całych sił swoją tancerkę. Wreszcie wśród okrzyków niezadowolenia zaplątał się, pośliznął i runął z łoskotem na ziemię.

Jeden z młodych ludzi podniósł go z przesadną usłużnością i kiedy nawpół przytomny pan Teodor stanął znowu na nogach, przemówił doń z udanem współczuciem:

— I pocóż, poczciwy staruszku, było się tak fatygować?

Z głową pochyloną i nabrzmiałą szedł, nic nie widząc, chłostany śmiechem i uszczypliwemi docinkami. Rachunek zapłacił dopiero w garderobie i wyszedł na ulicę, gdzie go powitał blady i cyniczny poranek.

Długo wlókł się do domu zniechęcony i ociężały, uginając się niezdarnie pod brzemieniem śmieszności.

Kiedy otworzył mieszkanie zionęła ku niemu straszliwa pustka. Nigdy nie czuł się tak samotnym i tak bezradnym, jak w tej chwili.

Siadał to tu, to tam i zapadał w bezmyślne osłupienie.

Potem zrywał się i krążył po wszystkich pokojach, szukając napróżno śladów życia, które stąd uleciało.

Wreszcie wydobył z biurka fotografję pani Reginy i patrzył na nią długo, dławiony straszliwą i beznadziejną tęsknotą.

Dopiero około południa wyszedł z domu i kupiwszy po drodze bukiecik fiołków, podążył na cmentarz, aby złożyć na jej grobie kwiatki — te kwiatki, których jej nigdy za życia nie umiał ofiarować...

ROZMOWA WŚRÓD NOCY
CZYLI
KŁOPOTY WIELKIEGO I MAŁEGO
ZŁODZIEJA

Scena wyobraża z przepychem urządzony gabinet Wielkiego Złodzieja. Mahoń, bronzy, marmur, srebro i złoto, obrazy i rzeźby starych mistrzów. Po podniesieniu kurtyny na scenie panuje przez chwilę cisza i ciemność — tylko przez jedno okno wpada wątła smuga promieni księżycowych. Po chwili właśnie przy tem oknie słychać z początku lekkie, potem coraz wyraźniejsze chrobotanie. Na seledynowej płaszczyźnie szyby ukazuje się czarna sylwetka Małego Złodzieja, który wreszcie jednym zgrabnym ruchem, bez wielkiego hałasu, wyrywa szybę zapomocą „płachty złodziejskiej". Mały Złodzij wślizguje się zgrabnie do wnętrza, świecąc ślepą latarką. Jakiś czas nadsłuchuje uważnie, poczem zaczyna bezszelestnym krokiem posuwać się to w jedną, to w drugą stronę. Uważnie śledzi, coby tu było warto ukraść. Wreszcie zdecydowany rozkłada worek, poczem bez składu

i ładu, zaczyna go napełniać wszystkiem, co mu pod rękę wpada. Już, już prawie gotów, kiedy wiedziony ciekawością, zbliża się do kasy ogniotrwałej, rozpierającej się dumnie za biurkiem. Ledwo się jednak jej dotknął, niewidzialny przyrząd chwyta go w srogie, nieustępliwe kleszcze, światło elektryczne zapala się, a dzwonki alarmowe zaczynają działać. Mały Złodziej napróżno się szamoce, jęcząc żałośliwie. Kilkunastu lokai we wspaniałych liberjach wpada pośpiesznie i wysuwa ku niemu paszcze rewolwerów.

Mały Złodziej (osuwa się bezradnie i szepce zbielałemi od strachu wargami) Litości! (W jaskrawem świetle widać, że jest to trzydziestokilkoletni człeczyna o twarzy wychudłej, zabiedzonej i melancholijnych oczach. Ubranie nosi wytarte, buty dziurawe i zabłocone, brudna koszula, na szyi wystrzępiony szalik, na głowie obszarpana czapka).

Wielki Złodziej: (wpada szybko drzwiami środkowemi) A złapaliśmy ptaszka! (Wygląda świetnie, spasiony i tłusty, promieniejący dobrobytem i spokojem wewnętrznym. Ubrany jest w bajeczną piżamę i skórzane pantofle).

Mały Złodziej (jęcząc) Dobrodzieju, zlitujcie się, ta cholera połamie mi ko-

ści. Wolę iść odrazu do dziury, niż sterczeć w tych przeklętych, stalowych łapach! (szapnął się rozpaczliwie i bezskutecznie) Puśćcie mnie!

Wielki Złodziej (z zadowoleniem) Przyrząd działa znakomicie!

Lokaje: (chórem) Tak jest, jaśnie panie!

Wielki Złodziej (do lokai) Możecie teraz odejść, sam sobie z nim poradzę!

Wielki Złodziej (podchodzi do Małego Złodzieja i zaczyna go dokładnie rewidować) Najpierw zobaczymy, co się tam kryje w twoich kieszeniach, aniołku, (wyjmuje pokolei duży nóż, brudną chustkę, jakiś obszarpany notesik i garść drobnych niklaków). A rewolweru nie masz przyjacielu? (rzuca znalezione przedmioty na fotel).

Mały Złodziej Skądżebym ja tam, wielmożny panie, miał takie kosztowne narzędzie? Ja przecie nie jestem żaden hrabia ani kasiarz, tylko mały, mizerny złodziejaszek. Ledwie wyżyć mogę z tego, co mi się uda tu i ówdzie zwędzić!

Wielki Złodziej Tak sobie też myślałem. Wobec tego mogę cię oswobodzić (naciska ukrytą sprężynę).

Mały Złodziej (wysuwa się szybko i rozciera zbolałe ręce) O! jaśnie panie,

dziękuję, padam do nóżek, rączki jaśnie panu całuję (chce go koniecznie pocałować w rękę).

W i e l k i Z ł o d z i e j (odsuwa go) Daj pokój, czyż nie zdajesz sobie sprawy, że poniżasz godność ludzką!

M a ł y Z ł o d z i e j (pada przed nim na klęczki). Wielmożny jaśnie panie, daruj mi, oddam ci wszystko, co chciałem ukraść! (wskazuje na worek). Zapakowałem sobie troszkę tych cacek i wpakowałem do worka, ale oddam wszystko, jak Boga jedynego kocham, jak jestem uczciwy grandziarz. Kradłem jaśnie panie, bo już od trzech dni głodny brzuch paskiem zaciskam, a moja Mańka, także żadnego frajera złapać nie może. I tak my się, jaśnie panie, włóczymy już trzecią noc pod murem. Deszcz siepie, zimno łamie kości, głód kiszki skręca. I tak, jaśnie panie, z rozpaczy wlazłem do twoich salonów — bo to prawdę powiedziawszy, nawet nie w moim fachu. Ja, jaśnie panie, nie włamywacz, ja jestem zawodowy doliniarz, w tramwajach pracuję — ale cóż, kiedy nawet na tramwaj nie mam, takie to teraz cholera drogie, (obejmuje go za nogi). Jaśnie panie, prawdę mówię, żebym tak skonał... prawdę, jak w ostatniej godzinie śmierci. Tylko dobrodzieju nie wołaj łapaczy, bo na mnie skóra cierpnie ze stra-

chu. Oni mnie znają dobrze, ino mnie zobaczą, zaraz mi mordę skują, do ciemnej dziury zamkną, na chłód i głód. A przecież chciałoby się jeszcze człowiekowi na swobodzie pobujać. Jaśnie panie, pozwól mi dać nogę.

W i e l k i Z ł o d z i e j (kładzie mu rękę na ramieniu i mówi po przyjacielsku) Nie bój się, nic ci się nie stanie. Zapomnijmy o tem, co miało miejsce przed chwilą. Niech ci się zdaje, że wszedłeś drzwiami, a nie oknem. Nie jesteś już włamywaczem, jesteś moim gościem. Proszę cię siadaj! (otwiera biurko, wydobywa flaszkę i kieliszki, oraz pudełko z cygarami) Może cygarko, może kieliszek likieru!

M a ł y Z ł o d z i e j (siada ostrożnie na brzeżku fotela i drżącemi rękoma zapala cygaro) Dobry tabak! (spogląda na niego lękliwie) Jaśnie panie! chyba nie zrobisz mi jakiejś grandy, toby nie pasowało takiemu hrabiemu.

W i e l k i Z ł o d z i e j: (rozpiera się wygodnie w fotelu) Muszę ci przedewszystkiem oświadczyć, mój kochany, że my obaj w jednym pracujemy fachu... (z naciskiem) ja jestem także złodziej.

M a ł y z ł o d z i e j (patrzy na niego zdumiony) Jaśnie pan raczy sobie ze mnie żartować — to przecież nie do wiary!

W i e l k i Z ł o d z i e j. Tak jest w istocie. Tylko, że ja jestem wielki złodziej, a ty jesteś mały złodziej (klepie go po ramieniu). Możesz ze mną rozmawiać, jak ze starszym bratem, możesz mi ufać, bo my jedno i te samo uprawiamy rzemiosło.

M a ł y Z ł o d z i e j. Jaśnie pan jest chyba kasiarzem, wiadoma rzecz, kasiarze mają się dobrze, kasiarze to przecie nasza arystokracja... oni z nami nawet gadać nie chcą.

W i e l k i Z ł o d z i e j. Nie bracie, ja jestem taki złodziej, który kradnie w biały dzień na najruchliwszych ulicach i nikt go za rękę nie chwyta. Ja jestem, mimo wszystko wciąż jeszcze legalnym złodziejem. O mnie nikt nie śmie powiedzieć, że ja kradnę. Moje złodziejstwa nazywają się powszechnie tranzakcjami, interesami, obrotami handlowemi, operacjami i przedsiębiorstwami i t. d. i t. d. Moje złodziejstwa są jawne i mają notowania na giełdzie — nikt ich nie bierze za złe, chociaż kradnę bez ustanku, w dzień i w nocy. Moje złodziejstwa działają same jak automaty raz w ruch puszczone, są perpetuum mobile dzisiejszej ludzkości. Ja kradnę często mimowoli, bez wysiłku i starania. Podobny jestem do paszczy okularnika, którą dość otworzyć, aby zapełniła ją dobrowolnie

gromada poczciwych królików. Wyciągam ludziom pieniądze z kieszeni, a oni westchnąwszy żałośnie patrzą na mnie z głębokim szacunkiem i chylą kornie czoło. Jestem nawet podziwiany, co więcej odgrywam rolę ideału, nazywają mnie człowiekiem silnym, człowiekiem przyszłości. Wszystkie godności stają przede mną otworem (wstaje i prostuje się z dumą). Jestem potęgą, mój bracie, wielką potęgą. Powinieneś byś dumny ze mnie, powinieneś się cieszyć, że człowiek tego samego co ty fachu wyrósł tak wysoko!

Mały Złodziej. To my oba złodzieje?

Wielki Złodziej (siada znowu i pali cygaro). Tak, robimy to samo, tylko wyglądamy inaczej.

Mały Złodziej. A nie boisz się brachu, że cię prędzej czy później wsadzą do ula, oni są przecie na nas tacy zajadli?

Wielki Złodziej. Coprawda jest z nami teraz coraz gorzej. Naciskają nas, żądają skromności i pokory, ale my się bronimy dowcipnie, pomysłowo i jest nadzieja, że się wydobędziemy z ciężkiej biedy.

Mały Złodziej (z żalem) Ale nas te cholery... przymykają raz po raz. Ledwo człowiek trochę świeżego łyknie powietrza, ledwo sobie trochę z dziewczyną poswawo-

li, już zaraz za nim ganiać poczynają, aż i złapią. I jest o co, o tych głupich kilka złotych...

Wielki Złodziej: Właśnie trafiłeś w sedno rzeczy. Teraz mogę powiedzieć ci już wszystko, nic nie zataję, serce przed tobą na oścież otworzę.

Mały Złodziej: (nieufnie) Cóż znowu za bujanie gościa?

Wielki Złodziej Niewymownie jestem zadowolny, żeś zechciał mnie odwiedzić, albowiem już od dawna pragnąłem ci podziękować, serdecznie podziękować!

Mały Złodziej· Mnie podziękować? Za co to, panie hrabio?

Wielki Złodziej· (wstaje i chwyta go za rękę). W imieniu wszystkich wielkich złodziei, dziękuję ci kochany, szlachetny i wzniosły mały złodzieju, za twoją całą pełną poświęcenia ofiarną działalność. Któżby uwierzył, że ty właśnie, w swojej mizernej, niepokaźnej postaci, jesteś dla nas prawdziwą opoką, piorunochronem, chwytającym wszystkie gromy w nas godzące. Tyś prawdziwym, romantycznym rycerzem, walczącym z możną przemocą. Tyś na swoje słabe barki wziął ciężar nad siły. Ty i tobie podobni bohaterowie wiodą bój zacięty. Jeśli my jesteśmy potężni, jeśli my mogliśmy do niedawna spać spo-

kojnie w dobrobycie i zaszczytach, wam to zawdzięczamy, wam skromnym i cichym, wam prawdziwym ludziom wielkiej idei, której doniosłości nawet nie rozumiecie. Wszyscy są przeciwko wam. Nauka, prawodawstwo, organizacje społeczne wytężają wszystkie siły, aby was zwyciężyć, a wy-się bronicie ze zdumiewającym heroizmem. Prześladują was, ścigają konno i pieszo, automobilem, samochodem, pociągiem, łodzią motorową, telegrafem bez drutu. Szukają was nad ziemią i pod ziemią, śledzą wasze ślady zapomocą najnowszych zdobyczy wszystkich gałęzi wiedzy. Kaznodzieje, filozofowie ,reformatorzy, prorocy i mężowie stanu tępią was podniosłemi słowami. I doprawdy, kiedy myślę o tem wszystkiem, czuję się głęboko wzruszony tą otchłanią bezinteresownego poświęcenia w czasach tak bardzo materjalistycznych. O kochany, wzniosły, o szlachetny mały złodzieju, jeszcze raz ci dziękuję. Gdyby was zabrakło, cała ta czereda, pozbawiona nagle zajęcia, pewnoby nam na kark spadła...

M a ł y Z ł o d z i e j: A... tu cię boli... (po chwili). Bardzo ci bracie dziękuję za te miodowe słówka, ale wolałbym, żebyś mnie zamiast tego trochę wspomógł, bo widzisz

mnie i mojej Mańce, bardzo się kiepsko już od dawna powodzi.

Wielki Złodziej Widzę, kochany przyjacielu, że nie zupełnie mnie zrozumiałeś. Zapewne, cóżby było łatwiejszego, jak wam dopomóc, jak was nasycić, ale pieniądze... tego uczynić nie możemy. W ten sposób bowiem pozbawilibyśmy was istotnego przeznaczenia i pięknego powołania. Zamienilibyśmy was w leniwe małomieszczaństwo, nieciekawe pospólstwo — odebralibyśmy wam cały czas i cały urok. Takich właśnie, jacy jesteście, potrzebujemy — nie innych!

Mały Złodziej (zrywa się z miejsca) To znaczy, że nic nie dasz?

Wielki Złodziej (wstaje i patetycznym ruchem wyciąga do niego ręce). Bracie! nie żądaj, abym zabił w tobie wielką ideę.

Mały Złodziej (zbliża się do niego kociemi, elastycznemi ruchami) To nawet tego worka nie pozwolisz zabrać?

Wielki Złodziej Nie wymagaj czynów niegodziwych!

Mały Złodziej Nic nie dasz?

Wielki Złodziej Ponieważ kradniesz w tramwaju, mogę ci dać miesięczny bilet jazdy...

Mały Złodziej Czekaj, inaczej ze sobą pogadamy! To ty mi głowę zawracasz jakiemś głupiem gadaniem, a kabzy nie chcesz otworzyć! To ty się chcesz dalej rozwalać na aksamitach, a ja mam robić na ciebie, ty pasibrzuchu, ty krwiopijcu, ty gnojku zatracony! Zaraz tu z tobą zrobię koniec (chwyta nóż leżący na fotelu i chce się rzucić na niego).

Wielki Złodziej (wyciąga ku niemu rewolwer) Pomału przyjacielu, pomału — jestem silniejszy od ciebie (wskazuje na okno). Tam jest wyjście, tamtędy przyszedłeś!

Mały Złodziej (opuszcza bezradnie rękę i powoli zbliża się do okna, przekłada jedną i drugą nogę, poczem twarz w stronę widzów zwracając, mówi dobitnie) Ach ty złodzieju, ty prawdziwy złodzieju!

PAMIĘTNIK JEDNEGO DNIA
CZYLI BARDZO WIELE KŁOPOTÓW

Tego dnia wstałem później, niż zwykle, po nocy źle przespanej, po nocy pełnej myśli niespokojnych, rozpierzchłych i jednakowo dokuczliwych. Cała niestrawna miazga psychiczna przekształcała się raz po raz w jakieś niesamowite i bezkształtne twory snów nawpół gorączkowych. Potem znowuż wracałem do rzeczywistości zimnej i nieubłaganej, nasłuchiwałem wśród ciszy przejmującej miarowego stukania zegarów i zapadałem na krótką chwilę w zdradliwą otchłań snu, który podniecał, nużył i wyczerpywał. I znowu zapalałem światło, aby szukać ratunku w wertowaniu książek, które ułożyłem sobie zawczasu na nocnym stoliku. Ale żadna z nich nie zdołała mnie zatrzymać w swoim kręgu, żadna z nich nie umiała przezwyciężyć dziwacznego rozkapryszenia organizmu psychicznego, który odpychał wszystkie lekarstwa, wszystkie narkotyki i błądził z chorobliwem zadowoleniem wśród bezładnych

powikłań niesamowitego podniecenia. Przewracałem jedną książkę po drugiej i nie znajdowałem w nich żadnej możliwości zapomnienia. Wydawały mi się nudne, nieistotne i przebrzmiałe, albo bezczelnie lekkomyślne i błahe. Gniewały mnie efekty obliczone na bezkrytyczność czytelnika, albo też raziło sentymentalne gadulstwo i romantyczna poza. W przeciągu kilku kwadransów odbyłem niecierpliwą podróż pomiędzy pisarzami wszelkiego gatunku i poziomu, aby wreszcie zrozumieć, że nie było dla mnie ocalenia w literaturze całego świata.

Zgasiłem znowu światło i zwróciłem się po pomoc do najpiękniejszych moich wspomnień i najbardziej smakowitych nadziei. Ale i to nie przyniosło żadnej ulgi. Jakaś siła fatalna wydobywała z lamusa pamięci sprzęt najmniej teraz pożądany. Przypominały mi się z niesłychaną jaskrawością wszystkie najfatalniejsze głupstwa, które kiedykolwiek popełniłem. Oglądałem szydercze twarze kobiet, których nie umiałem zdobyć, przeżywałem z niesłychaną dokładnością wszystkie upokorzenia, oraz te straszliwe sytuacje, kiedy po jakiemś idjotycznem odezwaniu się nastaje cisza naładowana złowrogiem napięciem. Wobec takiego fatalnego obrotu wszystkie nadzie-

je przeraziły się i schowały. Żadna z nich nie miała odwagi, aby pokazać chociażby koniuszek swojego różowego noska. Przeszłość torturowała mnie bezkarnie, wolna od wszelkiej konkurencji.

Zasnąłem wreszcie nad ranem i obudziłem się o godzinie dziewiątej w takim nastroju, jakbym noc całą spędził na najbardziej wyczerpującej orgji. Czułem się, jak zbity pies. Żołądek, serce i mózg funkcjonowały fatalnie. Miałem wrażenie, że w mojej biednej głowie znajduje się ognisko wszystkich cierpień fizycznych i moralnych, że po całym organiźmie krążą zabójcze toksyny, które wywołuje zupełną otępiałość. W takich chwilach tęskni się mimowoli za jakimś ostrym bólem fizycznym, groźna choroba nawet wydaje się wybawieniem, albowiem wydobywa nieszczęsną ofiarę, ze stanu nudy bezbarwnej i niczem nieusprawiedliwionej.

Tymczasem włóczyłem się po całem mieszkaniu, szukając jakiegokolwiek powodu do awantury i kłótni, do podniecenia się i schwytania na gorącym uczynku któregoś z drobnych, domowych skandali. Ale niestety nigdzie nie mogłem znaleźć punktu zaczepienia. Cała konstrukcja domowa działała tym razem niby świetny, precyzyjny aparat. Zewsząd ziała doskonała po-

prawność, wszystkim moim przyzwyczajeniom i nałogom złożono należną daninę. Nikt nie chciał naruszyć żadnego z moich kaprysów ani też dostarczyć jakiegokolwiek pozoru do niezadowolenia. Byłem zupełnie bezbronny. Gdybym w takiej atmosferze zaczął przemawiać stąd ni zowąd głosem podnieconym, gdybym zaczął utyskiwać i narzekać, moja rodzina miałaby wszelkie prawo wezwać karetkę Pogotowia i odstawić mnie do zakładu dla umysłowo chorych.

Narazie nie życzyłem sobie takiego rozwiązania.

Cofnąłem się tedy, pobity bez walki, do mojego pokoju i zacząłem rozmyślać nad sposobem spędzenia reszty dnia. Wiedziałem, że jakakolwiek praca wymagałaby olbrzymiego wysiłku przezwyciężenia, na które nie było mnie poprostu stać, wiedziałem, że w takim nastroju nie należy załatwiać żadnych interesów, żadnych spraw rozstrzygających o najbliższej nawet przyszłości. Tylko głupiec mógłby się narażać zgóry na niepowodzenie.

No tak, to prawda, ale przecież muszę sobie znaleźć jakieś zajęcie, jakiś cel, nie mogę w sposób zupełnie bezradny oddać się na pastwę tej jałowej gmatwaniny impulsów i refleksyj.

Ten pierwszy zdecydowany wysiłek zrodził we mnie nareszcie coś praktycznego. Instynkt samozachowawczy odezwał się. Z mózgu ustąpiła szara oćma, zacząłem myśleć logicznie i jasno, starałem się zrozumieć sytuację, w której się pogrążyłem, zacząłem pytać o djagnozę mojej choroby.

Mimowoli nasunęło mi się pytanie czy przy tej sposobności mam stosować modne metody psychoanalizy i szukać przyczyny cierpienia w tajemniczych załamaniach życia seksualnego? Nie wydało mi to wcale potrzebne, skoro wiedziałem, że skromna zresztą, obecna „libido“ nie cierpi wcale na brak nasycenia. Postanowiłem, że w tym wypadku zwykła przedwojenna logika wystarczy.

Przedewszystkiem należało stwierdzić, że stany hypochondrycznego niezadowolenia powtarzają się a mnie coraz częściej, a natężenie ich wzrasta.

Ponieważ, według własnego zresztą przekonania, należę do ludzi, którzy obserwują swoje wnętrze bez żadnych niepotrzebnych złudzeń, nie jestem zmuszony do tworzenia całego łańcucha hypotez, z których 90 procent należy potem odrzucić.

Wiem, że pomiędzy mną, człowiekiem przedwojennym a epoką powojenną istnieje jakieś zasadnicze nieporozumienie, któ-

re przypomina się natrętnie przy pierwszej lepszej sposobności, które nasyca nieustąpliwą goryczą całe moje dzisiejsze życie i wytwarza w najczulszych ośrodkach wewnętrznych dziwny niepokój. Toczy się jakaś zajadła i nieubłagana kłótnia pomiędzy mojem „ja" a jakimś złośliwym przeciwnikiem, który stara się mnie pognębić, zdyskredytować i ośmieszyć. W odpowiedzi na to moje „ja" wierzga, wspina się i przemawia do swoich gnębicieli zarówno słowami najzjadliwszej wzgardy, jak i najbardziej soczystemi przekleństwami. W tej sytuacji groteskowej zawiera się jednak zagadnienie dla mnie dość ważne, chociażby ze względu na to, że posiadam jeszcze dość duży zapas sił żywotnych i nie mam zamiaru starać się o emeryturę.

Zagadnienie to składa się z dwóch pytań zasadniczych.

A mianowicie: czy ja jestem wyranżerowanym i upartym ramolem, który nie rozumie nowoczesnego ducha i nie umie się doń przystosować, czy też rzeczywistość współczesna jest tylko mistyfikacją prawdziwego postępu, mistyfikacją, którą nam pokazują, czasami jako zręczną i niemal pogodną komedję, a czasami jako brutalny i szarpiący nerwy dramat?

Teoretyczna odpowiedź na to pytanie jest dosyć łatwa i najczęściej dla mnie pomyślna. Któż bowiem nie wymyślał „epoce powojennej“ i któż nie ględził na ten oklepany temat? Ale do djabła ze wszystkiemi teorjami, do djabła ze wszystkiemi mądralami, którzy mielą i mielą swoje szlachetne teoryjki i reklamują je, jak niezawodny środek na porost włosów. W tem właśnie sęk, że podczas wielkiej katastrofy czasów wojennych i powojennych, tego zjawiska żywiołowego i nieopanowanego, wszystko to, co jest twórczością samego człowieka, rozpierzcha się i degeneruje natychmiast przy pierwszem bezpośredniem zetknięciu z życiem. Nie pomaga tu nawet najbardziej nieubłagana konsekwencja działania, nie pomaga i to, że kapłani współczesnych wielkich idei podobni są raczej do katów z rękoma umazanemi krwią aż po łokcie.

Jakaś siła złośliwa i tajemnicza psuje, podważa i zniekształca wysiłek człowieka. Jest to lekcja wypełniona okrutnem szyderstwem i naigrawaniem się z głupiej zarozumiałości mało pojętego ucznia, który pomimo wszelkiego starania nie może wydobyć się ze swej oślej ławki. Na tle tego wszystkiego wytwarza się jakiś nieustający stan zapalny, jakieś przewlekłe, chroniczne schorzenie — i wytwarza się także

wielkie, ogólne zamieszanie. Kiedy jedni walczą i giną, zwyciężają i upadają, kiedy drudzy umieją patrzeć tylko przerażonemi oczyma na te niesamowite widowiska, pojawia się, jak zwykle w takich sytuacjach, banda łotrzyków pospolitych, zadowolonych z tego, że nikt im na palce nie parzy i napychających bezkarnie swoje nienasycone worki złupionem mieniem. Istnieje wielu zimnych, małych spryciarzy działających niestrudzenie i zdobywających z dumą to wszystko, cośmy dotychczas zgodnie uważali za liche, nędzne, małe i właściwie bardzo śmieszne.

I jeśli taki świat mimo wszystko pyszni się sobą, jeśli uważa swoje dzieło za jakąś konieczność rozumną i noszącą w swojem łonie zaród pięknej przyszłości, to czyż może być mowa o dobrej zabawie dla tych, którzy zostali zaskoczeni i zmuszeni do dalszego bytowania, nie umiejąc się ani przystosować, ani wyrzec swoich nałogów, swojego własnego rozumu i zatwardziałego zwyczaju oceniania wszystkiego z pomocą wzgardzonych dzisiaj wartości moralnych. Gdybyśmy to wszystko mieli zdeptać i wyrzucić na śmietnik, musielibyśmy przecież dostać coś wzamian, coś sposobnego zarówno do użytku na szare codzień jak i od wielkiego święta.

A czy wogóle można coś dostać oprócz mglistych obietnic i ogólnikowych zapewnień o przyszłem szczęściu?

Nie, nie możemy być tak lekkomyśni, aby pewnego pięknego poranku rozpocząć nowe życie wśród zupełnej pustki. Do tego potrzeba wspaniałych talentów pokolenia, które się urodziło i dojrzało w epoce „ersatzów", ogonków żywnościowych i wszystkich paradoksów ekonomicznych.

A więc nic nie oddawać i nic nie brać— oto hasło nas zabłąkanych, nas, ludzi z nieprawdziwego już zdarzenia, nas starych gwardzistów z czasów minionych, nas dziwaków, którzy o sprawach im bliskich muszą rozmawiać konspiracyjnym szeptem i językiem dla innych mało zrozumiałym.

Tak myślę, lecz znowu powraca ostrożna refleksja:

Może to wszystko są tylko biadania starego hypochondryka, który nie umie dostrzec zdrowego ziarna pomiędzy plewami, który nie rozumie, że to wszystko, co się dzieje, dzieje się w zgodności z jakimś wielkim i tajemniczym planem, że to całe niepokojące zamieszanie jest tylko przykrem przygotowaniem do błogosławionej epoki wyzwolenia.

I oto dyskusja wewnętrzna zaognia się. Kilka głosów należących do znakomitego stowarzyszenia mojej jaźni poczyna przemawiać. Przysłuchuję się z ciekawością i, jak zwykle, czekam na jakieś realne, praktyczne wskazanie.

— Przedewszystkiem — mówi jeden głos — od dłuższego już czasu nie obcujesz bezpośrednio z ludźmi, z życiem współczesnem. Śmiejesz się z teoretyków, ale przecież całe twoje dotychczasowe gadanie jest czysto teoretyczne. Trzeba sprawdzać swoje twierdzenia na ludziach, na ludziach wszelkiego gatunku.

— Nie sądzę, — mówi drugi głos — żeby to był słuszny zarzut. Przecież on żyje naprawdę, przecież walczy o byt i przy tej sposobności czyni doświadczenia, których się właśnie domagasz.

— Tak, — odpowiada znowu tamten — ale to wszystko nie wystarcza. Niechaj obcuje z ludźmi i ze światem bez nacisku codziennych kłopotów i obowiązków, niech ogląda wszystko raczej bezinteresownie, lecz z najwyższem napięciem uwagi, niech szuka tych ukrytych wiązadeł i nici, które poruszają żywemi figurami na szachownicy, niech zerwie przynajmniej na przeciąg jednego dnia z odosobnieniem i milczącą pogardą...

Słuchałem tych niespodziewanych żądań z przerażeniem. Co za dzikie pomysły! Jakto, właśnie w takim nastroju, po takiej fatalnej nocy mam opuścić lekkomyślnie bezpieczne schronienie, włóczyć się pomiędzy ciżbą ludzką, z jednymi rozmawiać, drugich podpatrywać? Nie, to jest projekt zupełnie idjotyczny!

Ale głos wewnętrzny nie żartował i zawołał stanowczo:

— Dosyć tych głupich komedyj, ubieraj się i marsz na ulicę!

Cóż miałem robić, wyszedłem...

KAGANIEC WŁASNEMI NAŁOŻONY RĘKOMA.

W modnej kawiarni było jeszcze pustawo, ale przy jednym ze stolików zobaczyłem starego znajomego, który powitał mnie ze skwapliwą serdecznością. Odrazu widać było, że ma coś na wątrobie i chce się wygadać.

Mój znajomy jest dziennikarzem. Jakkolwiek nie został dotychczas zjubileuszowany i obdarzony srebrną papierośnicą, pracuje w tym zawodzie około trzydziestu lat i tyle już napisał, że gdyby można było ułożyć wiersze wszystkich jego artykułów w jedno nieprzerwane pasmo, napewno opasałby niem kulę ziemską.

Rozmawialiśmy już dosyć długo. Mój znajomy wytrząsał przede mną wszystkie najświeższe i najciekawsze plotki ze świata nożyc, pióra i pędzla, odsłaniał z dziwnym zapałem tajemnice polityki, mężów

stanu i poszczególnych stronnictw, ukazywał zakulisowe sprężyny wydarzeń znanych i mylnie przez ogół rozumianych. Ile razy wtrąciłem jakąś naiwną uwagę, uśmiechał się pobłażliwie i natychmiast wyjaśniał prawdziwy stan rzeczy.

Rozmowa była coraz bardziej pouczająca. Mimowoli przyszło mi na myśl, że dziennikarze są dzisiaj naprawdę interesującymi ludźmi. Wiedzą wszystko i chcą wszystko wiedzieć. Gdybym tę samą porcję czasu spędził w towarzystwie literata musiałbym wysłuchać nieco uszczypliwych uwag o naszych najbliższych znajomych, a poza tem literat usmażyłby napoczekaniu kilka fantastycznych i nieprawdziwych wiadomości, opatrzonych komentarzami zupełnie fałszywemi.

Kaczki dziennikarskie przeniosły się i uwiły swoje gniazdka na niwie literackiej, a dzienikarze trudzą się poszukiwanieim prawdy ścisłej i pozbawionej blagi.

Niebawem jednak okazało się, że moje wnioski są zbyt pośpieszne, a nawet nieco naiwne.

Kiedy słuchałem tego, co mówił mój znajomy, poczęły mi się nasuwać rozmaite uboczne wątpliwości, zauważyłem tedy:

— Ależ, kochany panie, dowiaduję się od pana rzeczy poprostu rewelacyjnych.

Mam wrażenie, że gdyby pan to wszystko wydrukował, poczciwi czytelnicy byliby poprostu oszołomieni i jednocześnie zachwyceni. Niestety jednak wydaje mi się, że nigdy tego wszystkiego nie czytałem i czytać nie będę.

— Naturalnie — odparł ceniony publicysta — o tych sprawach możemy sobie tylko rozmawiać na ucho, ale drukować, nie, mój panie, to jest nie do pomyślenia. Wszystko już od dawna zostało skonfiskowane.

— Czyż macie teraz taką ostrą cenzurę?

— Mieliśmy, mamy i zawsze mieć będziemy dwie cenzury. Jedna z nich oficjalna najmniej jest nieraz szkodliwa. Można się jakoś do niej przystosować, można ją czasami obejść przy pomocy szeroko w czasach przedwojennych stosowanej sztuce pisania i czytania między wierszami. Ale druga cenzura — domowa, cenzura wewnętrzna, ta, która nas zmusza, abyśmy sobie własnemi rękoma kaganiec nakładali, szerzy najstraszliwsze spustoszenie. Jest to jakby legalny morderca, jakby ów słynny Kuba Rozpruwacz, który z czerwonym sztyletem w garści czyha w gabinecie naczelnego redaktora na każde śmielsze słowo, na każde niepohamowane zdanie, na każde naświetlenie faktu sprzeciwiające się tradycyjnym przepisom regulaminu nie-

napisanego, ale znanego wszystkim. I oto codziennie z równą gorliwością odbywa się ta krwawa egzekucja, dokonywana zawsze z jednakową sadystyczną rozkoszą. Obcinanie, łupanie, ćwiertowanie, przykrawanie, wykrzywianie, zniekształcanie i naginanie niemal wszystkiego, co wyrasta ponad szablon dozwolony, co mogłoby zdradzić tajemnice, które muszą być niedostępne dla szarego czytelnika. Czasami nawiedzają mnie wizje innego rodzaju. Wówczas moja redakcja przeobraża się w jakąś wielką mleczarnię, do której my wszyscy dostarczamy codziennie całe konwie świetnego, tłustego i pożywnego mleka. Ale główny herszt tej instytucji i wszyscy jego najważniejsi pomocnicy zbierają starannie całą śmietankę dla siebie, aby potem z odpowiednią porcją wody oddać do użytku publicznego ciecz mętną, niesmaczną i zupełnie odtłuszczoną.

Zamyślił się na chwilę, wykrzywił niemiłosiernie, jakby kazano mu połknąć coś bardzo obrzydliwego i znowu zaczął:

— Mówię o dziennikarstwie, albowiem jest mi najlepiej znane, ale podobną sytuację znajdzie pan we wszystkich dziedzinach naszego umysłowego życia powojennego. Wolność polityczna nie obudziła w nas wcale namiętności poszukiwania

i objawiania prawdy surowej i nieubłaganej. Posiadamy ją tylko czasami na dyskretny, prywatny użytek...

— Chciałbym wiedzieć jeszcze jedno, — pytałem zaciekawiony — czy można ustalić właściwości i rozmiary tej nieoficjalnej cenzury? Czy jest ona jednakowa wszędzie, na wszystkich skrzydłach?

Znakomity i powszechnie ceniony publicysta uśmiechnął się ironicznie i natychmiast zareplikował:

— Och, odmian jest bardzo wiele, ale mimo to istnieje w sprawach najważniejszych powszechnie obowiązująca jednomyślność. A więc jest to pewnego rodzaju szablonowe i szematyczne ujęcie niektórych zagadnień socjalnych, narodowych i religijnych, jest to dążność do stępienia wszelkiego ostrza bezlitosnej rzeczywistości, jest to wciąż ta sama małomieszczańska moralność i jest to wreszcie ów konwencjonalny patrjotyzm, który był w czasach klęski piękną wizją poetycką, a potem wyhodowany podczas niewoli jako środek walki stał się dzisiaj wierutnem i kompromitującem głupstwem, znieważającem godność wolnego człowieka — głupstwem niesłychanie szkodliwem, poniżającem i pokrywającem swoją bezkształtną miazgą wszystko, co jest w nas jeszcze war-

tościowego i zdolnego do życia. A przecież hoduje się je z zadziwiającą pieczołowitością w szkole, piśmiennictwie i frazeologji politycznej. Nie sądzę, aby poza niektóremi badaniami historycznemi, umiano mu się w należyty sposób przeciwstawić. Nasi radykalni i niby to odważni publicyści wolą zgodnie z duchem czasu uganiać się za skandalami seksualnemi, wolą przetrząsać alkowy narodowych wieszczów, zrzucać zasłony z twarzy nieznanych kochanek, aniżeli analizować i dyskredytować zatrutą duchową spuściznę. Pisarze tego gatunku kochają tylko skandal. Jeżeli niema skandalu, niema też i zagadnienia. Jedyny wyłom, jaki uczyniono w tym chińskim murze, został zużytkowany na wprowadzenie kilku modnych teoryjek seksualnych. Najbardziej krzykliwe i reklamujące się wolnomyślicielstwo powojenne obrało sobie jako główną kwaterę sam środeczek żeńskich genitalij. Ten duch niezależny i wolny mieszka pod spódnicą rozwydrzonej Titiny. Coś się tam czasami warknie dla szyku przeciwko religji albo zastarzałym przesądom, czasem się jakieś zagadnienie socjalne zlekka połechce, ale natychmiast potem z nerwowym pośpiechem i dziwną lubością powraca się do ukocha-

nej krainy, gdzie się unosi mniej lub więcej subtelny *odor feminae*.

— Zawszeć lepszy rydz, jak nic — zauważyłem sentencjonalnie.

— No tak, — uśmiechnął się porozumiewaczo i nieco obleśnie — ostatecznie to są rzeczy, które my wszyscy do pewnego stopnia lubimy, ale myślę, że jeśli chodzi o zachęcanie narodu polskiego do wzmożonej aktywności w tej dziedzinie, to jednak nie należy zapominać, że rezultaty były tutaj zawsze doskonałe, jeszcze przedtem, zanim się ozwał natchniony głos kapłanów życia świadomego. Naród wcale się nieźle na tym odcinku krząta. Sądzę, że opieka nie jest tutaj tak bardzo potrzebna. Każdy sobie jakoś daje rady. I choćby przeczytał wszystkie znakomite feljetony Boya w spódnicy i Krzywickiej w spodniach, oraz fascynujące opisy wbijania igły w pośladek prostytutki, swoje własne sprawy erotyczne musi załatwiać indywidualnie.

— Pan schodzi na manowce, kochany panie redaktorze, nie przypuszczałem, że moje skromne pytanie rozpęta w panu taką burzę. Wróćmy raczej do pierwszego zagadnienia. Otóż mogę sobie łatwo wyobrazić, że w naszych stosunkach, jak wszędzie na świecie, mamy do czynienia z pewnemi ugrupowaniami, które popierają swo-

ich przyjaciół, a zwalczają swoich wrogów.

— Zapewne, byłoby to zupełnie naturalne. W ten sposób możnaby przez naświetlenie jednych poznać do głębi wartość drugich i odwrotnie, ale, zaręczam panu, sprawa nie jest tak bardzo prosta. Oto przykład. Niedawno delegowano mnie jako sprawozdawcę pewnego wielkiego procesu politycznego. Może pan sobie wyobrazić jak bardzo męczący musiał być dla mnie narzucony sposób oświetlania tego wszystkiego, co się działo na sali sądowej. I właśnie wówczas przyszło mi na myśl, że byłbym najszczęśliwszy, gdybym mógł codziennie wybierać sobie najbardziej mi odpowiadające pismo. Ale po pewnym czasie przekonałem się, że były dnie, kiedy nie mógłbym się nigdzie wypowiedzieć. A dni takich było wiele... To panu powinno wystarczyć, aby zrozumieć, że mówi do pana człowiek bardzo nieszczęśliwy.

— Czyżby pan tak fanatycznie ukochał prawdę?

— Nie chcę pana obełgiwać. Ostatecznie wszyscy dochodzimy prędzej czy później do cynicznej obojętności. Piszemy tak, jak trzeba, nie protestujemy, kiedy nas operują, ale widzi pan, nieszczęście tkwi w tem, że zamykając nas w zacieśnionym kręgu

żądają od nas wyczynów nieprawdopodobnych. Zupełnie tak, jakby człowiekowi skrępowanemu z kagańcem wciśniętym na usta kazano skakać z taką swobodą, śpiewać tak wesoło i polotnie, aby ci, co go słuchają, nie zauważyli w jak żałosnej sytuacji się znajduje.

Ostanie słowa wypowiedział tonem niezmiernie melancholijnym.

— Mimo wszystko — odpowiedziałem twardo — nie mam dla pana zbyt wiele współczucia. Miał pan napewno dość czasu i sposobności, żeby się wziąć do jakiegoś uczciwego zajęcia. Ale myślę o kimś zupełnie innym, myślę o jednym z tych szarych czytelników, rzuconych gdzieś daleko, pozbawionych poza wyrobem krajowym wszelkich innych możliwości poznania i skazanych na codzienne karmienie się tem, co pan nazywa zupełnie odłuszczonem mlekiem... Bo widzi pan z nami nie jest jeszcze tak najgorzej. Ostatecznie uwijamy się wszyscy na tym samym odcinku pomiędzy placem Teatralnym a ulicą Wiejską, ostatecznie tutaj możemy sobie wszystko wyszeptać na ucho, zawsze na osobności pogadać i dogadać się, jak jest naprawdę. Ale cóż ma zrobić taki simplex servus Dei?

— Ano — zawyrokował znakomity publicysta — jeśli ma łeb zakuty, zakuwamy go jeszcze bardziej, jeśli mózg jego trawi normalnie, czeka go anemja i bezkrwistość wskutek braku odpowiedniego pożywienia.

— W ten sposób czynimy wszystko, aby wyhodować całe pokolenie powojennych bałwanów...

Nagle „redaktor" łypnął nerwowo oczyma, pomacał kieszeń i zawołał:

— My tak gadu, gadu, a przecież trzeba iść do redakcji.

— Czy niesie pan znowu jakieś świeżo urodzone niewiniątko, aby je oddać w ręce okrutnego Heroda?

— O nie, drogi panie — zawołał triumfująco — to się już skończyło. Dziś jestem już swoim własnym cenzorem, sam się kreślę, sam zabijam własne myśli, zanim jeszcze spłyną na papier. W nagrodę za to „naczelny" nazywa mnie pisarzem posiadającym poczucie odpowiedzialności. Moje rękopisy idą do druku bez czytania!...

Zaśmiał się tak zgrzytliwie, jakby ktoś rylcem żelaznym pociągnął po szybie, i dodał:

— A to jest właśnie jedyna nagroda pracowitego żywota...

TARGOWISKO PRÓŻNOŚCI.

Przy naszym stoliku zebrała się gromadka ludzi z pod różnych znaków. Byli tu literaci, malarze, rzeźbiarze, dziennikarze, aktorzy, oraz, jak zwykle na dodatek, rozmaitego gatunku „kibice“ i panowie doradcy, których przeznaczeniem jest słuchać uważnie i czasami tylko wtrącać swoje trzy grosze z przystojną skromnością.

Po sali krążyły znakomitości i aktualne sławy, tocząc dokoła dumnem, a jednocześnie pożądliwem spojrzeniem. Tłum pospolitych burżujów spoglądał na nich z zachwyceniem i szeptał pokornie. Wielcy ludzie zachowywali się mniej więcej tak, jak organista, który po mszy obchodzi kościół i potrząsając skórzanym mieszkiem, podtyka go każdemu pod nos celem uiszczenia pobożnej daniny.

Luminarze przysiadali się do nas tylko na chwilę, jakby dla zaznaczenia obowią-

zującej solidarności, poczem ruszali dalej, aby wycisnąć należny haracz od kogoś bardziej opieszałego. To znowu jakby na dane hasło łączyli się wszyscy razem i przy jakimś skromnym stoliku kawiarnianym tworzyli ze zdumiewającą wprawą istny Panteon wielkości, wyniosłą piramidę sławy i niebotyczną wieżę genjuszu. Zachowywali się przytem tak, jakby nie zwracali uwagi na całe otoczenie. Rozmawiali z zachwycającą swobodą, uśmiechali się dobrodusznie i tylko od czasu do czasu któryś z nich łypał ostrożnie w jedną lub drugą stronę, aby sprawdzić czy adoracja odbywa się w należytym porządku i ze stosownem napięciem. Biada pospolitemu śmiertelnikowi, któryby wśród takiej osobliwej chwili odważył się przysiąść do tego wzniosłego ołtarza. Milcząca pogarda zgniotłaby poprostu zuchwałego świętokradcę, poczem wykwintny kelner wziąwszy go z obrzydzeniem w dwa palce, wyrzuciłby, jak strzęp nędzny, na asfalt uliczny, pod koła samochodów.

Tylko człowiek zupełnie nieuświadomiony może sobie nie zdawać sprawy, że tu się celebruje osobliwe nabożeństwo, że wszyscy, którzy tutaj przychodzą, przychodzą przecież nie dlatego, żeby wypić pół czarnej i zjeść ciastko z kremem, ale, aby cho-

ciaż przez chwilę w przystojnem oddaleniu obcować z genjuszem narodu polskiego, a jeśli się szczęśliwa nadarzy okazja, to się nawet o niego obetrzeć, a może nawet dostąpić oszałamiającego szczęścia osobistej znajomości.

Nasz stolik, który wrzyna się zuchwałym klinem pomiędzy kapłanów a tłum wiernych, jest bastjonem opozycji, jest twierdzą sceptycznego ateizmu. My pogardzamy tem całem zbiorowiskiem, ale większość nas pogardza niem codziennie, nałogowo. Ta pogarda stała się niejako funkcją organiczną, niezastąpioną i tak nieodzowną, jak nieodzownym jest dla tamtych dym kadzideł i mamrotanie modlitwy. Ta pogarda ma wszystkie cechy mechanicznej częstotliwości pozbawionej już wszelkiego indywidualnego wysiłku. Nie ulega wątpliwości, że działa tutaj niby ukryta sprężyna niezadowolenie i dyskretna zazdrość ludzi odsuniętych, niedopuszczonych, poklepywanych dobrotliwie po ramieniu i odstawionych od miodu z nieugiętą stanowczością.

I dlatego zapewne, jeśli przy naszym stoliku niema żadnego z „półbogów", wszystkie spojrzenia uświadomionej ciżby prześlizgują się po nas z niedbałą chyżością, której w żaden sposób nie można zatrzymać.

I czyż może być inaczej w tem środowisku, gdzie nawet nieznajomy człowiek zostaje natychmiast z piekielną zręcznością osądzony, oceniony i sklasyfikowany pod względem zdolności i właściwości użytkowych? Czasami tylko się zdarza, że ktoś z blasku przesuwa się w cień, czasami ktoś z szarego tłumu wyrasta niespodziewanie nad głowy.

Ile razy się tutaj zjawiam, zazwyczaj po dłuższej przerwie, zawsze doświadczam wrażenia, jakbym był tutaj nie dawniej, jak wczoraj. Nic się właściwie nie zmieniło. Wszyscy zajmują te same pozycje, rozstawieni tak samo przez tego samego reżysera z tem samem poczuciem humoru.

Nasz stolik jest czujnym i wytrwałym obserwatorem. W przeciągu kwadransa jestem tedy świetnie poinformowany o wszystkich ostatnich najważniejszych wydarzeniach. Wiem kto z kim, gdzie, jak i dlaczego? Dowiaduję się o zgrabnych posunięciach niezrównanych karjerowiczów. Ktoś korzystając z zamierzania i sprzyjającej konjunktury wyczarował dla siebie tłustą posadkę. Ktoś, drogą subtelnego szantażu, wymanił pieniądze od kochanka swojej żony i kupił sobie poważne stanowisko. Podobno podczas ostatecznej tranzakcji banknoty były jeszcze ciepłe. Jakiś opozy-

cjonista wślizgnął się do starej i reakcyjnej firmy przez odpowiednio ustosunkowane łóżko. Dziś uważają go tam za zbawcę i nieodzownego reformatora. Ktoś znowu został wylany z posady wskutek fatalnego spotkania na schodach, wiodących do mieszkania uroczej aktorki. Nieszczęśliwiec spotkał się z wielorybem politycznym, pech chciał, że wieloryb dopiero wchodził, a on już wychodził.

I tak dalej i tak dalej i tak dalej.

Słucham tego wszystkiego i myślę, że wszystko jest w porządku. Tak się zawsze działo i tak się zawsze dziać będzie. Nie warto się nawet zastanawiać, nie warto się dowiadywać o wydarzenia, które stworzyć można samemu w zaciszu domowem przy pomocy nawet bardzo skromnej wyobraźni.

Jakkolwiek się opanowuję i skłaniam do wyrozumiałości podniecioną spostrzegawczość, niepokoją mnie jednak pewne refleksje.

Czyż jednak poza tem wszystkiem nic się już nie dzieje? Czy te przechadzki z wypiętym kałdunem sławy, czy ta pompa paradujących głupców i spryciarzy z dodatkiem pewnych kłopotów gospodarczych i pomrukującej goryczy, ma być zupełnym przekrojem naszego życia umysłowego?

Czy należy na tem tylko poprzestać i zamknąć rachunki? Czyż się nic ważnego nie dzieje gdzieś w odosobnieniu i ukryciu? Czy nie ma nikogo nieobliczalnego, nikogo, ktoby każdem włóknem swojego istnienia urągał zwycięskiej przeciętności? Czy nie przenika tutaj wiadomość o jakiejś namiętności samotnej, o jakiejś pasji wielkiej, niepohamowanej i napoły bezinteresownej?

Pytam się o to, dowiaduję i zastanawiam. Odpowiadają mi niedbałem poruszeniem ramion.

Nie, nic takiego niema i nic takiego się nie zapowiada. Pojawiają się od czasu do czasu jakieś nowe książki, jakieś nowe obrazy, jakieś wypociny muzyczne, panowie publicyści mielą na swoich codziennych i tygodniowych żarnach, ale to wszystko razem nie wystarcza nawet na zaspokojenie najskromniejszych potrzeb tego samego snoba, który właśnie uśmiecha się obleśnie do przechodzącej gwiazdy literatury polskiej.

Myślę jeszcze i o tem, że niepodobna oskarżać teraźniejszości, iż jeszcze nie wydała człowieka genjalnego. Podobno wszyscy wyglądamy go teraz tak, jak Żydzi Mesjasza, ale on zjawia się zazwyczaj nieoczekiwany, narzucony przez przypadek, jako doskonały przykład nieprawdopodobieństw

i tajemnic dziedziczności. Wydaje mi się natomiast pewnem, że artysta genjalny siłą swojej surowej dyscypliny narzuca ścisłe obowiązki najlichszej nawet płotce — albo ją zmusza do milczenia albo narzuca jej czystość intencji. Niepodobna sobie np. wyobrazić, aby za życia Stanisława Wyspiańskiego mogła udać się zuchwała awantura pięciu skamandrytów, którzy korzystając z chwilowego interregnum opanowali niezajęte pozycje i zorganizowali literaturę polską jako przedsiębiorstwo przemysłowo-reklamowe. Żeromski, talent o mniejszej skali, już ich czasami jawnie tolerował, a Boy, jakkolwiek nie można przypuścić, aby nie dostrzegał ich całej nędzy, stał się najpierw wyrozumiałym pochlebcą, potem żarliwym opiekunem, a wreszcie stworzył z nimi drapieżną spółkę pozbawioną wszelkiego poczucia odpowiedzialności.

W ten sposób doszliśmy do zupełnego zachwiania podstaw moralnych sztuki i przez przerost sprytnego kombinatorstwa doprowadziliśmy ją do zupełnego wyjałowienia i do zupełnego upadku.

Z tego wszystkiego nie wynika bynajmniej, aby normalny rozwój sztuki mógł istnieć tylko wówczas, kiedy żyją i tworzą wyjątkowe indywidualności. Natomiast jasnem jest, że nikomu nie wychodzi na do-

bre pogwałcenie wartości ideowych. Cóż zrobić? Dzieło sztuki należy do tych osobliwych potraw, które dla wydobycia prawdziwego smaku wymagają zawsze choć trochę szlachetnych korzeni i osobliwych przypraw. Sam przepis nie wystarcza, o wszystkiem rozstrzyga niezgłębiona tajemnica dobrego kucharza, którego najsprytniejszy nawet kuchcik naśladować nie potrafi. Artysta może być koniokradem, cudzołożnikiem i rzezimieszkiem, może nie płacić długów karcianych i naciągać bliźnich na drobne pożyczki, ale nie wolno mu obrażać zasad osobistej i osobliwej moralności. Artysta może być naiwny i nieporadny, jak dziecko, może być niechlujny i zaniedbany, ale musi być dobrym i rozumnym gospodarzem swojego własnego wnętrza, musi przekładać szlachetną i bezinteresowną namiętność twórczego wysiłku ponad najwspanialsze nawet wyniki pospolitej zręczności.

Niewątpliwie, posiadamy, zwłaszcza w starszem pokoleniu, ludzi dziwnych, samotnych i szlachetnych, ale ich wpływ jest niedostateczny i anemiczny.

Skutek jest taki... ale co tu dużo gadać, zaraz o dwa kroki stąd prosperuje taki nowoczesny...

gdzie się handluje tym towarem tak, jak śledziami albo kiełbasą. W dzisiejszych stosunkach jest to poniekąd naturalny stan rzeczy. Przedsiębiorca, który chce zbyć swój towar, może pomagać sobie wszystkiemi sposobami z dziedziny humbugu i bluffu, może nawet wedle klasycznych amerykańskich wzorów Barnuma i Bernaya, oszukiwać naiwną publiczność, byleby tylko ostateczny wynik był pomyślny. I dlatego np. wydawcę „Wiadomości Literackich" uważałem zawsze za nader sprytnego handlowca; sądzę nawet, że przy mizernym stanie naszej literatury jego zdolności niepotrzebnie się tutaj marnowały — całe szczęście, że umiał znaleźć nowe drogi podaży i zbytu. Bądź co bądź trzeba przyznać, że uczynił wszystko, co było w jego mocy. Mając bowiem do rozporządzenia tylko powojenną tandetę, umiał przez dłuższy czas prze-

konywać odbiorców, że jest to towar w najlepszym i najsolidniejszym gatunku. A jeśli nie zdołał odnieść długotrwałego i zupełnego sukcesu, nie jego w tem wina. Zbyt lichą i niedostateczną otrzymywał produkcję, a poza tem działała wrodzona nieufność i chytre plotkarstwo warszawskiego, śródmiejskiego burżuja, które dały się już niejednokrotnie we znaki pomysłowym wysiłkom autoreklamy i zręcznego humbugu.

Poczciwi Amerykanie wierzyli przez długi czas, że barnumowska Joice Heith była niańką Jerzego Waszyngtona i liczyła sobie 161 wiosen. W Warszawie już po kilku tygodniach szeptanoby sobie w eleganckich kawiarniach na ucho, że ta fenomenalna długowieczność jest zwykłą blagą, że Heith jest zwyczajną osiemdziesięcioletnią murzynką, która znakomitego patrjotę zna tylko z obrazka.

Cóż więc dziwnego, że nasz warszawski Barnum musiał się w tym wypadku zachować tak, jak zachowuje się każdy rozumny powojenny przedsiębiorca.

Handel współczesny musi wciąż przystosowywać się do nowych sytuacyj, musi umieć wyczuwać nadciągające prądy i porzucać bez najmniejszego wahania to, co stało się nieaktualne i przestarzałe.

Jeśli ktoś posiada sklep, w którym z dziada pradziada handlowano wyrobami kuchennemi i żelaznemi nie powinno go to powstrzymywać, aby w chwili stosownej zaczął handlować mechanicznem obuwiem. Jeśli przestają kupować buty, trzeba założyć tanią paszteciarnię, a potem wziąć się do handlu z pończochami, albo też uruchomić automaty fotograficzne.

Jedno bowiem jest pewne. Każdy nowy sklep zwraca uwagę, ściąga klientelę, a potem? — potem trzeba odświeżyć się, przefasonować, trzeba znowu zaintrygować i przywabić tę najkapryśniejszą publiczność. W przeciwnym razie grozi nieuchronna zagłada w atmosferze melancholijnego zapomnienia.

Jeśli więc przeciętny warszawski czytelnik na sam widok książek Jarosława Iwaszkiewicza, albo Kazimierza Wierzyńskiego zdradzał niepohamowaną ochotę nerwowego ziewania, jeśli pracowite pióra kobiece nie mogły wynagrodzić męskiego ospalstwa, jeśli nikogo nie interesowały tajemnice pracowni genjalnych twórców, jeśli nawet zdobycie nagrody państwowej stało się wydarzeniem pospolitem, jeśli wywiadów, ankiet i polemik literackich nikt już czytać nie chciał, były to nieomylne oznaki, że wybuchł nieodwołalny kryzys

w handlu literaturą, że na ten towar niema nabywców nawet na wyyrzedaży w koszu „do wyboru, za jedne pięćdziesiąt groszy“. Trzeba było pomyśleć o zmianach zasadniczych. Konieczności życiowe domagały się za wszelką cenę nowych nastawień i nowych idei.

Długo deliberował nad tem przedsiębiorca z placu Marszałka Piłsudskiego, wahał się i przerzucał z jednej ostateczności w drugą, aż tu w jego utrudzonej głowie poczęło się ruszać coś małego, chuderlawego i czarnego. Krzyknął z bólu, kiedy ten twór nieznany począł się wydobywać przy pomocy spiczastych łokci z jego zmęczonego mózgu, aż wreszcie na bibułę redakcyjną wyskoczyła postać sowiookiej niewiasty i poczęła ronić na czysty papier „sekret kobiety“.

Zdumiony wydawca przetarł oczy, przyjrzał się jeszcze raz wszystkiemu, przeczytał, powąchał i zawołał:

— Eureka, to jest opoka, na której zbuduję świetną przyszłość. Zginęła literatura, niech żyje akuszerja i uświadomienie seksualne!

W ten sposób w naszem życiu umysłowem rozwarły się nowe horyzonty.

Od czasu do czasu jednak w sklepiku na rogu przypomina o swojem istnieniu lite-

ratura zwłaszcza wówczas, kiedy znakomici pisarze przedają za kilka złotych swoje ostatnie książki wraz z cennym autografem.

Ten sposób wynaleziony przez niektórych literatów francuskich został w Polsce znacznie ulepszony i rozszerzony. Wypracowano nawet bardzo urozmaicony cennik ze wzorami dedykacyj od najskromniejszych i najtańszych aż do najwznioślejszych i najdroższych.

Zainteresowani twórcy narzekają jednak, że w ostatnich czasach bardzo jest trudno chwytać na tę wędkę zblazowane rybki warszawskiego city. Na szczęście została jeszcze niezepsuta ludność dalszych okolic i przedmieść. Zostały Nalewki, Ochota, Krochmalna, Czerniaków, Muranów, Wola, Dzika, i t. d., i t. d.

Stamtąd płynie jeszcze fala entuzjazmu i niesłabnącego podziwu. Nieraz zdarzają się wypadki wzruszające, jak np. wówczas, kiedy skromna ekspedjentka z ulicy Franciszkańskiej, zapłoniona i nieśmiała, położyła banknot dwudziestozłotowy przed genjalnym reformatorem obyczajów, poczem otrzymała egzemplarz „Piekła kobiet“ z następującą dedykacją:

„Niezapomnianej Pesi Kugelszwanc... Boy-mędrzec“.

Powodzenie osiągnięte na tej drodze skłoniło niektóre sfery literackie do dalszych w tym kierunku postępów.

Przypomniano sobie, że w Rosji przedwojennej zamożni mieszczanie wynajmowali na wesela dymisjonowanych generałów. Dlaczegóżby więc teraz, kiedy tak trudno jest zarobić coś piórem, nie należałoby chwycić się tego sposobu podtrzymania rodzimej twórczości? Dlaczegóżby znakomici literaci nie mieli za skromną opłatą uświetniać rzewnych uroczystości rodzinnych i okolicznościowych. Przy tej sposobności, zwłaszcza mieszkańcy odleglejszej prowincji, mogliby nawiązać trwały, osobisty kontakt z koryfeuszami naszego piśmiennictwa. Obie strony zyskałyby na tem.

To wszystko zresztą tak bardzo się zgadza z duchem czasu, z duchem czasu...

NIEDYSKRECJE.

Nasz stolik jest coraz gęściej obsadzony. Zjawia się także kilka ludzi znanych powszechnie z jadowitego języka. Oni właśnie objawiają zrazu dziwny niepokój, puszczają pierwsze próbne race swoich dowcipów i przerzucają się z jednego tematu na drugi, jakby badając własną sprawność i wrażliwość słuchaczów. Wreszcie ktoś z nich nawpół uroczystym tonem zawodowego conferenciera wygłasza kilka paradoksów, które przedkładają walnemu zgromadzeniu gadułów zasadniczy motyw dzisiejszej dyskusji.

— Doszedłem do przekonania, że w ostatnich czasach za mało zwracamy uwagi na właściwości i szczegóły życia miłosnego naszych znakomitości. Historja współczesna zbyt jest oficjalna, zbyt skromna i powściągliwa. Zamiast sumiennego badania w tym względzie ludzi powołanych, rozpo-

rządzamy zaledwie pospolitem plotkarstwem, które nie dociera nigdy do jądra i zadowala się bardzo mizernemi zdobyczami.

— Masz świętą rację! — zawołał drugi prowokator — trzeba jednak dodać, że ten niedostatek zwraca się w znacznej mierze przeciwko osobom bezpośrednio zainteresowanym. Jeżeli bowiem nie zajmujemy się w sposób systematyczny i wnikliwy erotyką naszych twórców, tem samem bagatelizujemy ich poniekąd i nie uznajemy za godnych wniknięcia w całokształt ich życia. A przecież wystarczy wziąć do ręki pierwszą lepszą historję literatury, aby zobaczyć jak się tam mrowi od wyczerpujących wiadomości na temat perypetyj miłosnych wielkich ludzi. Kochanki poetów, pisarzy, mężów stanu i wszelakich artystów zostały tam skatalogowane i opisane, jak w najbardziej wzorowym podręczniku zoologicznym. Ustalone są również wzniesienia, opady, rozkosze i cierpienia miłosne, oraz wpływ tego wszystkiego na twórczość danego osobnika. Każdy wielki człowiek wkracza do Panteonu sławy razem z całym haremem swoich miłośnic, a pracowici szperacze badają w sposób niezmiernie ścisły właściwości ich powabów i rodzaj nieśmiertelnego wdzięku. Często

są bardzo niedyskretni i po wielu latach odkrywają niemiłe tajemnice łóżek i sypialni. Niepodobna zaprzeczyć, że to wszystko nie jest bez znaczenia dla odcyfrowania niejednego twórczego działania, że jakiś drobny szczegół erotyczny wyświetla nam nieraz to, co się wydaje dziwne i nieuzasadnione.

— Ależ do czego to wszystko zmierza? — zapytał niecierpliwie ktoś z boku.

— Zaraz, zaraz, — odpowiedział pierwszy przedmówca — dla dalszego rozjaśniania tego interesującego zagadnienia, pozwolę sobie zauważyć, że każdy człowiek niepospolity, tak, jak zresztą każdy mężczyzna, przez swoją działalność zmierza do zdobycia kobiety. Poza koniecznością wypowiedzenia się i działania, poza płodną ambicją i żywiołową pasją każdy z nas jest tokującym głuszcem, który pragnie zachwycić samicę wspaniałością swoich skrzydeł i przepychem lśniącego ogona. Rezultaty tego rodzaju wysiłków są bardzo miarodajne w oficjalnej, że tak powiem, dziedzinie, mogą nawet stać się niezawodną podstawą dla ścisłego wartościowania... Jednem słowem niepospolici ludzie posiadają niepospolite kochanki, genjusz zdobywa prędzej czy później prawdziwy urok miłości — nieraz mimo defektów zewnętrz-

nych i niepopularności jego wysiłku. Istnieją w historji sztuki wielkości zapoznane, którym dopiero po wielu latach ludzkość oddaje należny pokłon, ale niemasz takiego wzgardzonego samotnika, któregoby nie umiała ocenić należycie przynajmniej jedna kobieta.

— Jeśli więc — podjął trzeci rozmówca — istnieje jakakolwiek wątpliwość co do wartości mężczyzny, należy ją zanalizować po przez niedyskrecje jego łóżka. Kobieta zainteresowana bezpośrednio posiada tajemniczą zdolność trafnej oceny, o ile naturalnie w grę wchodzi popęd żywiołowy i szczery. Mimo wszelkich odchyleń i załamań kobieta wybiera mężczyznę odpowiadającego jej poziomowi. A więc wartość mężczyzny można mierzyć wartością kobiety, która go wyróżniła. Ileż to razy mówimy: „Patrzcie, ten człowiek ma taką uroczą kochankę, a więc musi być coś wart...“

— To mi przypomina — zaczął znowu pierwszy z nich — dosyć zabawną obserwację. Oto przed kilku laty przyjaźniłem się z pewnym literatem, który w pewnych kołach uchodzi za przysięgłego znawcę i piewcę kultury starożytnej. Muszę się przyznać, że ten człowiek niesłychanie mi imponował. Mnie na samą myśl o „grece“ ciarki po skórze chodziły, a on jeździł tramwajem i czy-

tał sobie Ksenofonta albo Herodota z taką swobodą, z jaką my w podobnej sytuacji czytamy romans kryminalny. Wogóle życie starożytnych Greków i Rzymian nie miało dlań żadnych tajemnic. A poza tem, co jest najważniejsze, uważał się za człowieka, który poznał, zrozumiał i zgłębił osobliwe piękno świata antycznego. Niejednokrotnie z uśmiechem pobłażliwym pouczał mnie i łaskawie przewodniczył ile razy błądziłem wśród ruin Hellady lub słonecznej Italji. Spotykaliśmy się ze sobą niemal codziennie, toczyliśmy także dyskusje o bieżących sprawach literackich, a jednocześnie nie brakowało zwierzeń osobistych. Przy tej sposobności poznałem w pewnych odstępach czasu jego kobiety. Kiedy zobaczyłem pierwszą z nich, zdawało mi się, że to jakaś pomyłka, że to jakiś zabawny i wyjątkowy przypadek. Ale kiedy zetknąłem się z drugą, trzecią i czwartą zdjęła mnie litość i trwoga.

— Czy były tak niewątpliwie okropne?— zapytał ktoś niecierpliwie.

— Były straszne, potworne i odrażające, były nieusprawiedliwione przez jakikolwiek urok fizyczny lub psychiczny. Nie mogę ich dokładnie opisywać, albowiem zbliża się pora posiłku obiadowego i nie chciałbym żadnego z moich szanownych

słuchaczy narażać na przykre zaburzenia gastronomiczne. Rozumiecie chyba wszyscy, że od tej chwili zacząłem patrzeć na owego estetę nieufnie i podejrzliwie. Zacząłem badać krytycznie t. zw. jego twórczość i znalazłem na dnie pozę kabotyna i frazeologję zakłamania. To, co mi się wydawało niegdyś przejawem prawdziwego entuzjazmu teraz wydzielało kwaśną woń lirycznych wymiotów. Stosunki nasze szybko osłabły. Zniknęliśmy sobie z oczu. Wiem tylko, że on się obraca w tym samym kręgu specjalności. Nie wiem natomiast jak w chwili obecnej wygląda sprawdzian erotyczny. Jeśli jednak biorę do ręki którąś z ostatnich jego książek i czytam np.: „O! piękno starożytnej Hellady!" — wówczas zawsze mi się przypomina noga jednej z jego przyjaciółek, ta noga przypominająca wałek od ciasta, noga, która zresztą zaczynała się tam, gdzie każda „uczciwa" kobieta ma już kolano... I pytam się, szanowni słuchacze, czy można ufać takiemu człowiekowi, czy można w jego towarzystwie krążyć tam, gdzie każdy odłamek marmuru jest świadectwem nieśmiertelnego zrozumienia boskiego kształtu?

Po tem opowiadaniu niektórzy słuchacze byli oburzeni. Ktoś nawet zawołał:

— Za wiele sobie waćpan pozwalasz...

— Zresztą — zauważył drugi oponent — wkraczamy na bardzo śliskie tory. Cóż to jest wdzięk kobiety? To tajemnica niezbadana i nieuchwytna, niezależna zarówno od wyglądu, jak i od wieku. To tajemnica, która się objawia nieraz w uśmiechu kobiety starej i zdeformowanej, tajemnica, którą nadpoczyna dopiero śmierć, a pochłania grób. Jakże się tu orjentować, jakiejże użyć metody poznania?

— Naturalnie — odpowiedział zaatakowany — to sprawa niezmiernie trudna, ale nawet w tym kierunku są pewne wskazówki. Np. znakomity lekarz holenderski Van Derbuy, który przeprowadził cały szereg interesujących badań stwierdza między innemi, że najmniej kobiecego uroku posiadają zawodowe literatki...

— Pleciesz — oburzył się jeden ze słuchaczy — powiem ci tylko dwa nazwiska: Pawlikowska i Magdalena Samozwaniec.

— Każda przykra teorja posiada miłe wyjątki. Van Derbuy opowiada, że pomiędzy stoma zbadanemi przez niego powieściopisarkami angielskiemi znalazł zaledwie osiem istot, które można było określić jako normalne kobiety. Inni znakomici badacze, zwłaszcza francuscy i włoscy, twierdzą zgodnie, że Van Derbuy jest niesłychanym optymistą. W każdym razie kochani

panowie, jeśli będziecie szukać kiedykolwiek przyjaciółki, radzę wam dla własnego bezpieczeństwa, abyście się trzymali zdala od literatury.

— To mi znowu coś przypomina, — począł wołać ten, który, rozpętał tę bądź co bądź przykrą dyskusję — proszę o głos, opowiem jeszcze jedną autentyczną historję.

— Opowiadaj, — wołano — ale na tem basta. Nikt już oprócz ciebie nie otrzyma głosu. Satis!

— A więc pewnego razu znużony bezmyślnem życiem Warszawy, schroniłem się do jednego z podmiejskich pensjonatów. Przeżyłem tamże już kilka dni w zachwycającem, spokojnem odosobnieniu, kiedy stąd ni zowąd spotkałem na kurytarzu dwoje ludzi płci odmiennej, ale uprawiających to samo rzemiosło. On był znanym i cenionym publicystą, ona rozpoczynająca dopiero karjerę literatką. Nie trudno mi się było zorjentować, że wykryłem przypadkowo ich eskapadę miłosną. Dawno już o tem wróble koło Lourse'a i Ziemiańskiej ćwierkały. Tu sprawa była mi zresztą zupełnie obojętna. Ponieważ mnie nie zauważyli nic mi właściwie nie groziło. Odezwało się we mnie tylko coś w rodzaju współczucia dla znakomitego pisarza. Zgodnie

z wygłoszonemi tutaj teorjami myślałem: „A więc tak wygląda ucieleśniony rezultat tego wielkiego zamieszania, które wywołał swojem pracowitem piórem. Biedaczek, taki zdawałoby się bujny, chutny, jurny, rozpasany i zdobywczy, a właściwie taki skromny, skromniusieńki, taki, można powiedzieć ofiarny, taki poczciwy i poprzestający na małej okazji".

Schroniłem się do pokoju i postanowiłem zjeść kolację u siebie, aby przypadkiem nie zetknąć się przy stole z tą antologją współczesnej literatury. Rychło jednak zorjentowałem się, że oni umieścili się właśnie obok, w przyległym pokoju. Nie mogłem wprawdzie przez ścianę usłyszeć o czem mówili, ale zdawało mi się, że pochwyciłem kilka charakterystycznych zwrotów ze znanego mi dobrze żargonu literackiego. Nie mogę powiedzieć, żeby świadomość tego sąsiedztwa była mi przyjemną. Doznawałem wrażenia, jakby poprzez ścianę graniczną przesączało się do mnie coś wielce nieprzyjemnego, może nawet odrażającego.

Jakąż to noc może spędzić ze sobą tych dwoje? O czemże oni mogli rozmawiać zarówno przedtem jak i potem? Wyobrażałem sobie cały ich obrzęd miłosny nadziewany Proustem, faszerowany Huxleyem, szpi-

kowany Russelem i garnirowany sędzią Lindsayem. Byłem pewien, że prędzej czy później będą musieli poruszyć doniosłe zagadnienia świadomego macierzyństwa i zastanowić się raz jeszcze nad straszliwą tragedją ciąży pozamacicznej. Czy w takich warunkach tych dwoje zdoła spełnić to, na co zdobyć się potrafią bez wielkiego wysiłku pospolici zjadacze chleba — tego już rozstrzygnąć nie umiałem.

Tego wieczoru długo zasnąć nie mogłem, a wczesnym rankiem obudził mnie jakiś niezwykły ruch na korytarzu. Ubrałem się szybko i wyszedłszy z pokoju zobaczyłem kilka osób cucących pokojówkę, której zrobiło się niedobrze. Zaciekawiony zacząłem pytać co się właściwie stało. I oto okazało się, że znakomity krytyk i niemniej znakomita literacka wyjechali wczesnym rankiem. Kiedy pokojówka otworzyła drzwi od ich pokoju, wionęła stamtąd jakaś niesamowita i zabójcza woń. Biedne dziewczę padło, jakby gromem rażone.

Nieszczęsna! — pomyślałem — jak można było zachować się tak nieostrożnie. Pocóż było otwierać drzwi pokoju, gdzie unosi coś, co jest może straszniejsze od wydzielin śmierdziela filipińskiego.

To jest przecież fetor literacki!

ŚWIAT NA OPAK.

Obiad zjadłem w towarzystwie mojego starego przyjaciela, który niespodziewanie zjawił się w Warszawie.

Od dłuższego już czasu ten człowiek o wyjątkowej inteligencji męczy się na skromnem stanowisku urzędnika administracyjnego. Zdołał już stłumić w sobie wszystkie zuchwałe ambicje, pogodził się, że z takim jak on charakterem nie można myśleć o karjerze należnej jego zdolnościom, ale nie mógł przekształcić się w spokojnego robota biurokratycznego, który wypełnia swoje obowiązki z precyzją ograniczonej mechanizacji. Cokolwiekby mu powierzono zawsze znajdzie sposobność popełnienia jakiejś twórczej niestosowności, zawsze pracuje nad miarę i narzuca inicjatywę bezczelnie doskonałą. Jednem słowem popełnia to, co jest zawsze błędem nie do przebaczenie. Pracuje za dobrze, wytwa-

rza zawsze ów charakterystyczny niepokój, który jest niewygodny zarówno dla jego kolegów, jak i przełożonych.

Skutek jest taki, że go ciągle przenoszą, odstawiają, wypychają i spychają do coraz podrzędniejszych i dalszych pozycyj, aż wreszcie pięknego dnia wyślą go na emeryturę razem z tą pasją czynu, której nikt nie umiał i nie chciał eksploatować.

Nic więc dziwnego, że mój przyjaciel jest niezadowolony i zgorzkniały, nic dziwnego, że osad żółci własnej zabarwia wszystkie jego poglądy i wszystkie na świat spojrzenia.

Mój przyjaciel ma oprócz tego jeszcze wiele innych kłopotów.

Przedewszystkiem nie może się w żaden sposób porozumieć ze swoim własnym synem.

Przy obiedzie szeroko mi o tem opowiadał:

— Pomiędzy mną a moim synem istnieje przepaść wzajemnego nieporozumienia. On jest równoważony, spokojny, stateczny, powściągliwy i opanowany. On nie popełnia nigdy żadnego głupstwa, nie czyni nic takiego, czegoby mógł potem żałować. On wszystko oblicza, wyrachowuje naprzód i zmierza za wszelką cenę do sukcesu. On nie zna uczucia zawstydzenia na widok po-

konanego przeciwnika, jego zapał podnieca najbardziej gra zręcznie przeprowadzona. On nie zwraca uwagi na ludzi, którzy nie rozwierają przed nim jakiejkolwiek perspektywy korzyści. Jeśli potrzeba, umie schlebiać ludziom, któremi po cichu pogardza, jeśli potrzeba depce tych, których popowinien szanować. Nie znalaz.em w nim ani jednego odruchu bezinteresownego ani jednego zamiłowania do szlachetności dumnej, rozrzutnej i właściwie niczem nieusprawiedliwionej. Mojemu synowi nie można nic zarzucić, on jest nieposzlakowanym dżentelmenem, ale ja mu zarzucam wszystko. Ja jestem po tej, a on po tamtej stronie. Czasami zdaje mi się, że jakaś złośliwa wszechmoc pomieniała nasze dusze w garderobie wszechświata i włożyła je w nieodpowiednie powłoki. Bo widzisz, ja jestem niedowarzonym i niezrównoważonym młokosem, ja jestem tą szaloną pałką zawsze skorą do popełnienia wszelkiego głupstwa. Ja wciąż jeszcze marzę, tęsknię i pożądam. Ja żyć nie mogę w atmosfrze codziennej szarzyzny. Ja się buntuję i pewno na godzinę przed śmiercią buntować nie przestanę. Jak powietrze dla ptaka, jak woda dla ryby, jak ziemia dla rośliny tak mi jest potrzebne to wieczne złudzenie, którem nas zapładnia zarówno wielka i czysta

idea, jak i niespokojny rytm krwi gorącej. Ja pragnę poświęcenia albo zdobyczy zagarniętep zuchwale. Ja żyję bez programu, i bez rachuby, całe moje istnienie było mniej lub więcej udatną improwizacją, walką zakończoną zwycięstwem albo sromotną przegraną. Ale gdybym na nowo wszystko zaczynał, żyłbym tak samo i tak samo żyję jeszcze. Ale on mój syn... ja go nie mogę, ja go nie chcę zrozumieć.

— Może dzielą was przekonania, różnice polityczne? — zapytałem.

— Niestety sprawa nie jest tak prosta. Gdyby mój syn np. zajmował się organizowaniem pogromów żydowskich, powiedziałbym sobie: nie mam z nim nic wspólnego, ale my znajdujemy się na tej samej płaszczyźnie humanitarnego postępu. Mimo to nic nas nie łączy, wszystko dzieli. Ja jestem po tej a on po tamtej stronie.

Po raz pierwszy wypowiedział się przede mną w sposób tak bardzo dobitny. Te dysharmonje familijne tak bardzo charakterystyczne dla naszych czasów budziły we mnie mimo wszystko rozmaite zastrzeeżnia. Godziłem się na to, co mówił, a jednocześnie pytałem, czy jesteśmy sprawiedliwi, czyśmy przed ogłoszeniem surowego wyroku dostatecznie we wszystko wniknęli.

— Myślę, — odezwałem się po chwili milczenia — że jesteśmy może zbyt wpatrzeni w naszą własną młodość, że nie staramy się odnaleźć rodowodu i przyczyny...

— Ach, stary medjatorze — żachnął się mój przyjaciel — co mnie to wszystko obchodzi. Ja wiem, że jeśli kiedykolwiek wracam do domu sponiewierany, wyszydzony i niezrozumiany, to przypominam sobie, że mój syn jest z tymi, którzy mną poniewierają, którzy ze mnie szydzą i którzy mnie nie rozumieją. Nie jestem w stanie go przekonać, porwać albo nawet zaciekawić. Kiedy we mnie burzy się krew, on spogląda spokojnie z ironicznym uśmieszkiem.

— Czy były pomiędzy wami jakieś starcia?

— Nie brakowało ich, potem jednak zaległa raz na zawsze poprawna i doskonała obojętność. Nie wiem nawet czem się mój syn teraz zajmuje. Sądzę, że z zupełnym spokojem rozgrywa swoją partję życiową i mimo różnych przeszkód zmierza do sukcesu. Prawdopodobnie od czasu do czasu dochodzi doń jakaś wieść o mnie i wówczas powtarza raz jeszcze: stary, niepoprawny warjat. Ja zaś w analogicznych okolicznościach musiałby jeszcze powtórzyć: młody, niepoprawny mędrek.

— Jeśli jest zadowolony cóż mu więcej potrzeba?

— Nie myśl, że jestem znowuż tak bardzo pozbawiony instynktu praktycznego. Czy sądzisz, że pogwałcenie naturalnych właściwości jednej epoki życia nie zatruwa reszty życia. Czy nie zastanawiałeś się nad tem, że kiedy mój syn przestanie już być młodym, mogą się wyłonić komplikacje potworne, których w żaden sposób nie będzie umiał opanować? Gdyby mój syn był artystą, powiedziałbym, że hańbi swoją sztukę. Ale jeśli mój syn jest człowiekiem najbardziej nawet trzeźwego zawodu, to czyż może bezkarnie pozbawiać się tego wszystkiego, co jest bujną, kipiącą, nie liczącą się z niczem młodością. Czyż nie wyobrażasz sobie, że właśnie ta młodość spóźniona i przywrócona do praw w czasie przekwitu może przerodzić się w siłę niszczycielską i bezrozumnie rozpętaną? Jeśli dziś oglądamy pokolenie młodych starców, to za lat dwadzieścia może wyłonić się pokolenie starych szaleńców i osiwiałych młokosów.

— Za jednego z takich siebie przecież uważasz!

Mój przyjaciel zamyślił się na chwilę i odpowiedział z naciskiem:

— To nie będzie to samo. Cokolwiekby o mnie i o ludziach podobnych można było powiedzieć, nikt nie może zaprzeczyć, żeśmy zobowiązania swoje w dobrej walucie zapłacili. Czasami awanturą, czasami myślą zuchwałą, czasami nawet krwią...

W DOMU.

Długo jeszcze rozmawiałem z moim przyjacielem. Rozmowa ta ciągnęła się nieprzerwanie wśród rozmaitych akcesorji. Zwiedziliśmy wszystkie ważniejsze spelunki stolicy zarówno o charakterze wytwornym, jak i bardzo podejrzanym. Była to doskonała sposobność do przestudjowania nocnego życia Warszawy w całkowitym przekroju od góry do dołu. Dla nas jednak wszelkie otoczenie było tylko podnietą do wyładowywania zapasów z zakurzonego lamusa wspomnień. Opowiedzieliśmy sobie bez mała całe życie. Nad ranem przy czarnej kawie na Dworcu Głównym mój przyjaciel oświadczył mi stanowczo, że nietylko nie wróci już nigdy do domu, ale nawet do hotelu i że ma niezłomny zamiar popełnienia jakiegoś fenomenalnego, ostatniego głupstwa. Pomysły miał rzeczywiście nadzwyczajne. Wkońcu podczas dyskusji nad

sposobami zupełnego przebudowania świata zasnął z głową opartą o krawędź stołu. Z pomocą kilku tragarzy udało mi się przetransportować go na miejsce chwilowego zamieszkania.

Wróciłem do domu dziwnie trźewy, chociaż zrujnowany i spragniony snu.

Jeszcze raz przesunął się przede mną pamiętnik jednego dna, przesunęły się wszystkie wrażenia i refleksje, które, jak pracowita pszczółka przyniosłem do swojego ulu. Zapewne wiele tu jeszcze brakowało. Z iluż to kwiatków rosnących na rodzimej niwie nic nie uszczknąłem, — ale czy można i czy warto wszystkiego za jednym rozmachem pokosztować?

To, co przyniosłem narazie zupełnie mi wystarczyło.

Zasnąłem niebawem szybko i słodko, jak nigdy. Przykładając głowę do poduszki zdążyłem jeszcze na głos zawołać:

— Liberum veto!

NOC I ŚWIT
CZYLI JESZCZE RAZ KŁOPOTY
EROTYCZNE

Około pierwszej po północy młoda kobieta przestąpiła z zuchwałą miną próg kawalerskiego mieszkania i zrzucając z siebie zwierzchnie okrycie zawołała jakby nieco pogardliwie:

— Oto jestem w jaskini lwa.

Mężczyzna, który ją wprowadził zachował milczenie i począł w skupieniu pełnić obowiązki gospodarza z pedanterją właściwą ludziom żyjącym samotnie. W kilka minut potem wszystko znalazło się, jak na czarodziejskim stoliku, jak w filmie ukazującym życie wytworne.

Herbata, jakieś misterne łakocie, owoce i kilka flaszek doskonałego alkoholu.

— Pan jest zachwycający — zauważyła młoda kobieta tym samym co poprzednim tonem.

— Pani — odparł potężnym barytonem — jest dla mnie nad miarę łaskawa. Nietylko zgodziła się pani mnie odwiedzić o tak późnej porze, ale w sytuacji bądź co bądź nieco

kłopotliwej, zachowuje pani dobry humor i łagodną uprzejmość.

— Czy kobiety, które tutaj przychodzą są nieuprzejme?

— Raczej nieśmiałe — odpowiedział, uśmiechając się trochę ironicznie.

— Czy moja pewność siebie pana razi?

— Wstęp jest zachwycający, zobaczymy co będzie dalej?

Młoda kobieta zacięła usta grymasem lekkiego niezadowolenia i rzekła śmiało, może nawet zbyt śmiało:

— Drogi panie, jest pan chyba już dosyć doświadczony, aby domyśleć się, że kobieta, która przychodzi do pana w tego rodzaju okolicznościach jest mniej lub więcej zdecydowana na wszystko. Zresztą oświadczyłam panu otwarcie wówczas, kiedy mnie pan do siebie zaprosił, że się zgadzam, bo postanowiłam się.. panu oddać.

Ostatnie słowo zabrzmiało nieco zgrzytliwie, mężczyzna słonił się i odpowiedział ze spokojną uprzejmością:

— Pani! jestem nad wyraz szczęśliwy.

— To za mało, bo brzmi tak konwencjonalnie.

— Łaskawa pani, proszę mi wybaczyć. Należę do epoki, kiedy kobiety trzeba było zdobywać nieraz z wielkim trudem. Dlatego sposób postawienia sprawy przez pa-

nią nieco mnie zaskoczył. Właśnie ta łatwość...

— To nie jest łatwość drogi przyjacielu, to jest otwartość kobiety uświadomionej, która może sobie pozwolić na zupełną szczerość. A zresztą czy wolałby pan, żebym odegrała komedję w stylu małomieszczańskim, żebym mówiła o swojej cnocie, żebym się nawet pięściami broniła i wkońcu uległa pańskiej namiętności i przemocy fizycznej.

Mężczyzna skłonił się raz jeszcze i odparł bardzo stanowczo:

— Jeśli mam być szczery, wolałbym...

Zerwała się podrażniona, stłukła filiżankę, przewróciła dwie flaszki i poczęła wołać głosem pełnym oburzenia:

— Ależ to jest okropne, dokąd ja trafiłam, pan jest skończonym filistrem. Ja się pomyliłam, ja się fatalnie pomyliłam.

Patrzyła na niego z nieopisaną pogardą, potem jednym susem wskoczyła z powrotem na fotel i odwróciwszy twarz w drugą stronę poczęła go kokietować pozorami skupionego zamyślenia.

— A teraz — zaczęła mówić z filuternym spokojem — powiem panu dlaczego tu przyszłam. Zwróciłam uwagę na pana od pierwszego wejrzenia. Prawdopodbnie kobiety wogóle zwracają na pana uwagę. Pan

jest tym charakterystycznym starszym panem o siwiejących skroniach i dystyngowanym wyglądzie. Pan jest zadziwiająco spokojny i powściągliwy, pan ujawnia w stosunku do kobiet rzadko dziś spotykaną rycerskość, może nawet szacunek. My kobiety współczesne mamy najczęściej do czynienia z propozycjami bardzo obcesowemi i niecierpliwemi. Mężczyzna dzisiejszy wymaga niemal natychmiastowej decyzji, ale jeśli ona nie wypada po jego myśli odchodzi bez żalu, mówiąc prawdopodobnie do siebie: jeśli ta nie chce, znajdzie się inna. Tego rodzaju groźba wisi stale w powietrzu i nieraz ulegamy, bo cóż my biedne mamy właściwie robić? Jeśli więc w tega rodzaju atmosferze zjawia się ktoś taki, jak pan, ze wszystkiemi urokami minionego romantyzmu, wówczas mimowoli budzi się zainteresowanie i wiara. I tem się tłumaczy, że w dzisiejszych czasach starsi panowie mają wielkie powodzenie. Ale to przecież nie może mnie doprowadzić do tego, żebym dla zdobycia zupełnego pańskiego uznacia zachowywała się, jak gąski prowincjonalne z przed lat dwudziestu. Pan ciągle o tem zapomina, że ja jestem kobietą nowoczesną, kobietą uświadomioną, kobietą walczącą o swoje prawa, kobietą, która wie co się dzieje na szerokim świecie

i która nie może powrócić do starych, ohydnych i niewolniczych tradycyj. I dlatego raz powtarzam: pomyliłam się, fatalnie się pomyliłam. Wyobrażałam sobie pana jako romantycznego dżentelmena, a pan przemówił językiem pospolitego filistra.

Starszy pan spojrzał na nią bardzo przenikliwie i odparł spokojnie:

— Pani się znowu myli, pani mnie źle zrozumiała. Poprostu wyraziłem moje doświadczenie życiowe, nic więcej.

— Cóż to znowu za doświadczenie?

— Mogę je nawet wyrazić jako zasadę, która mnie dotychczas nigdy nie zawiodła. Im z większym trudem zdobywałem kobietę tembardziej wartościowe i przyjemne było to, co potem nastąpiło. Im większy opór tem większa rozkosz posiadania.

— I dlatego do mojej osoby odnosi się pan z lekceważeniem. Ach, byłam za łatwa! A więc moja miłość nie będzie dobrze smakować. Ależ w takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak pana wogóle pożegnać. Jeśli panu to sprawia przyjemność pozwolę mu się zalecać do mnie wedle przedwojennych zasad — z kwiatami, cukierkami i długiem wzdychaniem. Zaręczam panu, że potrafię być także trudną i nietylko to, jeszcze złośliwą, okrutną, kapryśną i zwodniczą. Zatruję panu jego dystyngowane życie

i wpędzę pana w sytuację beznadziejną, pozbawioną wszelkich rozkosznych możliwości.

— Pani! pozwolę sobie zauważyć, że jej ostatnie pomysły są zupełnie nierealne.

— Dlaczegoż to, drogi przyjacielu?

— Gra się rozpoczęła i musi być doprowadzona do końca. Noc jest długa.

— Tak, noc jest długa, ale chyba mi pan nie zabroni, żebym ją spędziła w mojem własnem mieszkaniu.

— Pani tego naprawdę nie chce.

— Ależ dlaczego? Co za śmieszna pewność siebie!

— Poprostu dlatego, że pani będzie chciała usłyszeć jeszcze to, co mam pani do powiedzenia.

— Ach, czyż być może, sądziłam, że pan mi już wyrąbał całą prawdę.

— Przemawiałem do pani dotychczas w imeiniu własnem, w imieniu korzyści osobistej, wzmocnionej długoletniem doświadczeniem. Ale to przecież nie jest wszystko — został jeszcze ogrom zagadnienia, które moglibyśmy atakować ze wszystkich niemal stanowisk pod najrozmaitszemi sztandarami. Muszę się przyznać, że od czasu kiedy panią poznałem i od czasu kiedy ją obserwuje doznawałem nieraz uczucia osobliwej złośliwości. Była to może nawet

odruchowa zapłata za rozczarowanie, które mi pani sprawiła. Wolno pani jeszcze raz nazwać mnie małomieszczańskim moralistą, a jednak muszę powiedzieć, że nie uznaję kobiet, które w codziennej walce z mężczyzną nie zachowały choć trochę nieprzystępnej dumy, wyniosłości, choć trochę odporu i tajemniczości. Czy nie przyszło pani nigdy na myśl pytanie jakby świat wyglądał, gdyby kobiety zgadzały się bez żadnego trudu na to wszystko, do czego je mężczyźni namawiają? Czy nie rozpętałoby się wówczas nieustające widowisko ruji, które nawet u zwierząt ma określony czas i granice? Czy nie zwróciła pani uwagi na to, że uwiąd współczesnej twórczości męskiej wynika z osłabienia bodźców seksualnych? Jeśli kobiety są tak jak dzisiaj łatwe, jeśli oddają się nam bez ceregieli i wahań zamierza to wszystko, co było dotychczas wdziękiem nienasyconego samca. Można śmiało powiedzieć, że we wsgardliwym kaprysie kobiety ukrywa się nietylko konieczna siła moralna i organizacyjna, ale także i tysiące bodźców twórczych niczem niezastąpionych, jedynych w swoim rodzaju. Przystępność kobiet, ta łatwa miłość dla zdrowia pogrąża jeszcze bardziej pokolenie współczesnej młodzieży, pustoszy sztukę, literaturę i naukę. Mógłbym

długo jeszcze przemawiać do pani na ten temat, ale obawiam się, że nie zostałbym należycie zrozumiany. Młode kobiety z powojennych czasów nie lubią się zastanawiać nad zagadnieniami ogólnemi i zasadniczemi, które jak się im wydaje, wybiegają poza granice ich własnego życia. Jesteście tak wpatrzone w rozkoszną anarchję swoich miłostek, że spotkałoby mnie niewątpliwie szyderstwo, gdybym np. się odważył powiedzieć cośkolwiek o wartości życia rodzinnego , o potrzebie jego czystości. Mam jednak nadzieję, że wysłuchany będę z wiekszem zrozumieniem, jeśli pozostawiemy w ścisłych granicach pani własnej korzyści, pani zysku i pani codziennego dobra. Jeśli ta sprawa ma być rozstrzygnięta w należyty sposób, muszę domagać się przynajmniej, aby pani zrozumiała co się dzieje naprawdę, aby pani wiedziała jaki jest świadomy i jodświadomy cel tych wszystkich nowoczesnych reform obyczajowych, jakie są kulisy tego krzykliwego apostolstwa uprawianego z zapałem przez niektóre rozwydrzone histeryczki. Czy pani sobie wyobraża, że nasz seksualny prorok ze Smolnej ulicy wije się i cierpi nad miarę wśród bezsennych nocy tylko dlatego, że kona jego stróża rodzi za wiele dzieci? Czyż to nie jest raczej przekradanie się

przez tę niedyskretną furtkę do popularności, do sławy i wziętości, czy to nie jest jednocześnie perfidna robótka samca, któremu chodzi przeedwszystkiem o to, aby uczynić kobietę jak najłatwiejszą dla siebie zdobyczą? Ta walka o prawa kobiety jest w istocie zręcznie zakonspirowanem oszustwem wymierzonem właśnie przeciwko kobiecie, działającem na jej szkodę, wbrew jej rzeczywistemu interesowi To jest chęć wprowadzenia jej w stan nieustającego podniesienia i wywołania tego samego skutku, który wynikał dawniej z obłudy, niewoli i zakazu. Tylko, że tam było przynajmniej wiele tajemniczego uroku, wiele dowcipu, zręczności i trudu. Tam były serenady przy blasku księżyca, schadzki misternie zaaranżowane, przysięgi łzami skropione, zaklęcia miłosne, sceny balkonowe, listy wzniosłe i poetyczne. Nawet rajfurzy odznaczali się wówczas dowcipem, mądrością i mieli serca pragnieniem wolności nabrzmiałe. A dziś to wszystko jest obnażone, bezwstydne i poddane drobiazgowej obserwacji, jak w gabinecie ginekologa, to wszystko pachnie akuszerją, szpitalem położniczym i zostało przetransponowane na koniecznych pięć minut dla zdrowia. Ale to nie jest wszystko. Tutaj się przecież także uwijają owe tygrysice skrobiące piórem

po papierze i porykujące bezustannie o upośledzeniu kobiet. Tym, które są najwymowniejsze nie chodzi zazwyczaj o nic innego, jak tylko, aby w ogólnem zamierzaniu nadarzyła się sposobność zaspokojenia nienasyconego pożądania. Inaczej któżby mógł na nie zwrócić uwagę? Inaczej czyżby się znalazł taki snobistyczny mężczyzna, któryby chciał miętosić to niepowabne ciało i słuchać tej zmanierowanej gadaniny?

Przerwał na chwilę, pociągnął z kieliszka kilka kropel i zaczął mówić znowu z coraz większym naciskiem:

— Tych dwoje wciągnęło panią w zasadzkę. Pani jest osaczona i zdezorjentowana. Pani nie widzi prawdziwego nieprzyjaciela, pani nie zna swojej wartości, swojej ceny. Pani mi jest tak biedna, jak to pani wmawiają tami dla własnej wygody. Pani posiada wszystkie prawa, aby przeżyć swoją miłość czy nawet swoje miłości w sposób normalny i szlachetny, pani może wymagać od mężczyzny, żeby się dla pani trudził, żeby panią zdobywał. Ale pani zachowuje się tak, jak głupie i zbłąkane dziecko. Patrzę na pani życie i widzę, że się pani roztrwania, rozdaje i sama siebie rozkrada. Pani była łaskawa mnie odwiedzieć i zaraz na wstępie pani oświadczyła, że chce mi się oddać, bo jestem stary i dystyngowa-

ny. Ależ poco i dlaczego? Przez ciekawość? Dla nowego dreszczu, dla kolekcji spazmów? I czy pani sobie wyobraża, że ja mogę skorzystać z oferty niemądrego brzdąca, że będę podobny do tych wszystkich błaznów...

Przerwała mu śmiechem głośnym i nieszczerym.

— Po raz pierwszy mi się to zdarza. Szukałam kochanka, a znalazłam platonicznego opiekuna, który palnął mi sążnistem kazaniem.

— Przemawiałem, jak prawdziwy przyjaciel.

— Przyjaźń to jest czcze słowo. Proszę mi jeszcze powiedzieć jedno. Czy tylko dlatego mnie pan do siebie zaprosił, żebym usłyszała tę całą namiętną przemowę?

— Do pewnego stopnia tak — chciałem zwrócić uwagę, chciałem panią ostrzec. Wydawało mi się, że w sytuacji tego rodzaju będzie pani bardziej skłonna do wysłuchania moich skromnych uwag. W innych okolicznościach nie zwróciłaby pani może uwagi na to, co powiedziałem.

— Trzeba przyznać, że pan to pomysłowo i nieprzyjemnie zaaranżował. Nie mogę teraz nazwać pana małomieszczańskim moralistą, ale powiem co innego. Pan prze-

sadza, pan mocno przesadza, pan jest chwilami niesprawiedliwy i mocno złośliwy.

— To jest nawet możliwe, ale jeśli choć cząstka z tego wszystkiego pani się na coś przyda, będę zadowolony.

Spojrzała na niego spokojnie i po przyjacielsku.

— I tak przeszła nam noc.

— Świta już.

— W każdym razie — dodała zamyślona — ta noc, podczas której nie pocałował mnie pan nawet w rękę, nie była taka zła...

SPIS ROZDZIAŁÓW: